



PROJEKT "MARZENIE"

CHARYTATYWNA AUKCJA FOTOGRAFII

15 LISTOPADA 2017 WARSZAWA



PROJEKT "MARZENIE"

CHARYTATYWNA AUKCJA FOTOGRAFII

15 LISTOPADA 2017 (ŚRODA) OK. GODZ. 20:00

CENA WYWOŁAWCZA KAŻDEJ PRACY 500 zł □

MIEJSCE AUKCJI

DOM AUKCyjNY DESA UNICUM UL. MARSZAŁKOWSKA 34-50 WARSZAWA

WYSTAWA OBIEKTÓW AUKCyjNYCH

9 – 15 LISTOPADA 2017

PONIEDZIAŁEK – PIĄTEK W GODZINACH OD 11 DO 19

SOBOTA W GODZINACH OD 11 DO 16

MIEJSCE WYSTAWY

SALON WYSTAWOWY MARCHAND PL. KONSTYTUCJI 2 WARSZAWA

PARTNERZY PROJEKTU



PATRONI MEDIALNI



KOORDYNATORZY AUKCJI

MARTYNA MERKIS *Redakcja katalogu, m.merkis@desa.pl, 664 150 864*

MARTYNA LISTKOWSKA *Koordynator sprzedaży, m.listkowska@desa.pl, 506 251 833*



INDEKS PORTRETOWANYCH

Aleksandra Kurzak 21

Alicja Resich Modlińska 23

Anda Rottenberg 7

Andrzej Seweryn 1

Beata Tyszkiewicz 2

Borys Kudlička 17

Daniel Olbrychski 11

Edward Dwurnik 5

Janusz Głowacki 16

Janusz Majewski 12

Jaś Mela 20

Jerzy Pilch 15

Jerzy Stuhr 3

Jerzy Vetulani 6

Józef Wilkoń 22

Kinga Baranowska 19

Krzysztof Pastor 8

Ks.Adam Boniecki 14

Maryla Rodowicz 4

Paweł Althamer 9

Tomasz Stańko 13

Urszula Dudziak 18

Zbigniew Libera 10

AUTORZY PRAC

Dorota Buczkowska (poz. 16)

Artystka. Wypowiada się w różnorodnych mediach: malarstwie, rysunku, fotografii, rzeźbie. Podejmuje tematy związane z percepcją rzeczywistości, naturalnymi procesami zmian związanymi z czasem i właściwościami materii, przedstawiając je za pomocą przekazów metaforycznych, czasami zabarwionych poetycką subtelnością. Jej prace były wystawiane na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych m.in. w: Galeria Raster, CSW Bunkier Sztuki, Liverpool Biennial, Socio-Political Contemporary Art Museum Jerusalem, Muzeum of Bat Yam, Tel Aviv, CSW Zamek Ujazdowski, Fondation Paul Ricard de Paris, Galeria Arsenal, 2011 Biennale of Contemporary Sculpture, Zachęta Narodowa Galeria Sztuki, Kordegarda, BWA Katowice, Muzeum Polin. W latach 1999-2003 studiowała na Wydziale Rzeźby ASP w Warszawie, w latach 2003-2004 w Villa Arson w Nici. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Anna Grzelewska (poz. 10)

Fotografka. Studiowała kulturę i sztukę na Uniwersytecie Warszawskim, jest absolwentką Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy i doktorantką ITF w Opawie. Laureatka wielu nagród, m.in. Lens Culture Emerging Talent Award w San Francisco, drugiej nagrody Grand Prix Fotofestiwalu w Łodzi i finalistka 29. Festival International De Mode & De Photographie w Hyères. Wystawia w Polsce i za granicą. Mieszka w Warszawie.

Paweł Fabjański (poz. 13,18)

Artysta wizualny, Ukończył studia na Politechnice Łódzkiej oraz w PWŚFTiVt w Łodzi, gdzie prowadzi pracownię "Fotografii Komercyjnej". Swoją uwagę skupia głównie na zagadnieniu przenikania się sztuki i komercji. Ma na swoim koncie nagrody w konkursie KTR oraz Srebrnego Lwa przyznawanego w Cannes na corocznym festiwalu reklamy. Jego zdjęcia prezentowane były w albumie "200 Best Ad Photographers Worldwide" wydawanym przez prestiżowe wydawnictwo Luerzer's Archive. W 2014 jego cykl „Bez Tytułu” otrzymał wyróżnienie „Best-in-Book” od Londyńskiego magazynu Creative Review. Obecnie Fabjański kładzie duży nacisk na realizację projektów artystycznych, w ostatnim czasie jego prace prezentowane były na wystawach w Paryżu, Cannes, Pradze, Derby oraz w Warszawie.

Pszemek (Przemek) Dzienis (poz. 7)

Ur. 1984 w Łodzi, absolwent kierunku Fotografia Wydziału Operatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi.

Dzisiaj tworzy proste w formie, ale precyzyjnie skomponowane prace, dalekie od patosu i nie podatne na nadinterpretację. W jego pracach widzimy najczściej osobę w relacji do przestrzeni lub obiektu. To właśnie relacje i napięcia między obiektami oraz kompozycja obrazu interesują Pszemka najbardziej. Fotografie Dzisiaj pokazywane były na wystawach indywidualnych w Budapeszcie, Warszawie, Krakowie, Łodzi i Poznaniu, brał również udział w wystawach zbiorowych w Warszawie, Wiedniu i Dusseldorfie. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Monika Kmita (poz. 23)

Artystka wizualna, fotografka i reżyserka. Głównym medium, w którym pracuje jest fotografia i video. Motywem, którym jest szczególnie zainteresowana to ciało, płęć. Kolejnym powracającym tematem jej prac jest przestrzeń. Tematem zdają się zastane i wydobyte przy pomocy kadru kompozycje przypadkowych obiektów, pełne wewnętrznego napięcia. Ostatnie wystawy w jakiej wzięła udział to m.in. „Bogactwo” w Zachęcie, 2016; IPF Melbourne, 2015 oraz IPF London, 2015. Ma na koncie liczne publikacje prasowe w polskiej i zagranicznej prasie.

Kobas Laksa (poz. 5)

Artysta. Absolwent Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Artysta sztuk wizualnych, reżyser, scenarzysta. Fotograf wykorzystujący techniki manipulowania obrazem. Portrecista. Był twórcą fotokolaży miejskich prezentowanych podczas Biennale Architektury w Wenecji, za które pawilon polski otrzymał prestiżową nagrodę Złotego Lwa.

Michał Szlaga (poz. 6,9)

Absolwent oraz wykładowca gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zajmuje się fotografią i wideo. Systematycznie dokumentuje polską rzeczywistość ("Reality"/ 2007, "Prostytytuty"/ 2010). W latach 2000 – 2013 zajmował się fotografowaniem Stoczni Gdańskiej – na stynny już projekt „Stocznia” składają się fotografie dokumentujące ostatnie lata Stoczni przed jej wyburzeniem. Projekt został pokazany na kilkudziesięciu wystawach na świecie, zaś w 2016 roku trafił do kolekcji fotografii paryskiego Centrum Pompidou.

Od wielu lat współpracuje z prasą, publikował m.in. w Malemen, Przekrój, Newsweek Polska, Twój Styl czy Viva!.

Igor Omulecki (poz. 8)

Fotograf, artysta wizualny, pracuje przy użyciu medium fotograficznego, sound art, i filmu eksperymentalnego. W ostatnich latach tworzył dzieła skupione na badaniu współczesnych granic medium fotograficznego. Absolwent PWS.F.T.V. i T. w Łodzi, wykładowca Akademii Sztuki w Szczecinie. Jego prace wystawiane były m. in. w Barbican w Londynie, The Centre for Contemporary Art w Tel Avivie, Matadero w Madrycie, Muzeum Narodowym Zachęta i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Stypendysta Ministra Kultury oraz Miasta Stołecznego Warszawy. Nagrodzony min. w konkursach: IPA Award, ExhibitA, Cannes Lions, Europe's Premier Creative Award. Autor licznych publikacji i wydawnictw. Prace artysty znajdują się min. w kolekcji Jankilevitchs Collection i wielu innych.

Piotr Porębski (poz. 4)

Fotograf. Karierę rozpoczął w połowie lat 90. w magazynie *twój styl*, w czasach kiedy na sesjach trzeba było robić coś z niczego. to nauczyło go mistrzostwa improwizacji i prędkości pracy. Autor wielu znanych okładek i sesji do magazynów i kampanii reklamowych. Jest świetnym portrecistą, ma niesamowitą umiejętność wychwytywania piękna i charakteru u osób, które fotografuje.

Jacek Poremba (poz. 14, 15)

Specjalizuje się w fotografii mody, portretach i reklamie. Stały współpracownik magazynów Viva, Uroda, Pani, Gala, Cosmopolitan, Twój Styl i Marie Claire. Autor zdjęć do plakatów oper Mariusza Treliskiego oraz przedstawień Krzysztofa Warlikowskiego. Od kilkunastu lat podróży realizując autorskie projekty fotograficzne min.: „Sudan”, „Toskania”.

Kuba Dąbrowski (poz. 20)

Fotograf. W 2004 roku skończył socjologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiował też fotografie w Instytucie Twórczej Fotografii w Opawie. Przez kilkanaście lat prowadził własną rubrykę fotograficzną w tygodniku "Przekrój". Autor bloga fotograficznego *accidentswillhappen* oraz *photobooks*ów wydanych w limitowanych edycjach: *Western*, *Sweet Little Lies*, *I 3,604 Stray Dog*. W 2014 r. jego prace zostały pokazane na retrospektywnej wystawie indywidualnej w Warszawskiej Galerii Zachęta.

Kasia Bielska (poz. 21)

Fotografka specjalizująca się w fotografii mody i reklamowej. Absolwentka wydziału operatorskiego PWSFTiTv w Łodzi. Zdobywczyni prestiżowej nagrody Sony Photo Awards w kategorii „Photojournalism and Documentary”.

Adam Pańczuk (poz. 22)

Fotograf, członek kolektywu Sputnik Photos. Autor słynnego projektu „Karczeby”. Współautor photobooków: Distant Place, Stand By, IS(not). Wielokrotnie laureat nagród: „Best Photography Book Award” w konkursie Pictures of the Year International za książkę “Karczeby”, Grand press Photo, Magnum Expression Award 1st Honorable Mention, Lens Culture International Exposure Awards Honorable Mention Award, PhotoEspana (PHE) OjodePez Award for Human Values, BZ WBK Press Photo, Grand Press Photo, SonyWorld Photography Awards

Bernard Kwapiński (poz. 1, 2, 3, 12, 17)

Fotograf, absolwent wydziału fotografii Fachhochschule Dortmund – University of Applied Sciences and Arts, propagator i kolekcjoner fotografii oraz właściciel jednej z największych w Polsce kolekcji książek fotograficznych. Pomysłodawca i inicjator „Projektu Marzenie”.

Iza Grzybowska (poz. 11)

Absolwentka ASP w Gdańsku Wydział Fotografii, a także studentka PWŚFTv iT w Łodzi – Wydział Fotografii. Posiada w swoim dorobku artystycznym wystawy autorskie jak i wystawy zbiorowe. Najważniejsze z nich: Fetysz w ASP Galerii; Pokrowce kobiecości w Galerii BB, na Miesiącu Fotografii w Krakowie oraz Fotograf pracuje w niedzielę w Bunkrze Sztuki w Krakowie. Od ponad 15 lat autorka publikacji modowych jak i sesji komercyjnych największych polskich i globalnych marek.

Jan Kriwol (poz. 19)

Fotograf. Początki jego pracy jako fotografa są związane z polską sceną skateboardową, co do dziś widać w stylistyce jego prac nawet tych komercyjnych. Wielokrotnie laureat nagrody KTR w kategorii Fotografia. Jego prace cechuje ironia, poczucie humoru i dystans do codzienności, często wykorzystuje iluzję i w mistrzowski, ale niezwykle subtelny sposób posługuje się obróbką cyfrową.

Projekt Marzenie

Projekt Marzenie powstał, aby spełnić marzenia dzieci cierpiących na choroby zagrażające ich życiu.

O największe, niespełnione marzenia postanowiliśmy zapytać ludzi, którzy w życiu zawodowym osiągnęli niemal wszystko. Rozmowy te stały się inspiracją do przedstawienia niespełnionych marzeń bohaterów przy pomocy fotografii.

Marzenia te fotografowali dla nas: Bernard Kwapiński, Iza Grzybowska, Piotr Porębski, Paweł Fabjański, Jan Kriwol, Jacek Poremba, Kuba Dąbrowski, Anna Grzelewska, Michał Szlaga, Dorota Buczkowska, Pszemek Dzieńis, Monika Kmita, Kobas Laksa, Kasia Bielska, Igor Omulecki oraz Adam Pańczuk.

Na aukcji projektu Marzenie będzie można kupić fotografie przedstawiające niespełnione marzenia 24. wybitnych polskich artystów, muzyków, aktorów, naukowców, sportowców i podróżników, a cały dochód z aukcji zostanie przeznaczony na spełnianie marzeń podopiecznych Fundacji Mam Marzenie.

Pomysłodawcą Projektu Marzenie jest fotograf Bernard Kwapiński, który jest autorem części zdjęć, zaś sponsorem i producentem firma White Stone Development.

Fundacja Mam Marzenie

Misją Fundacji Mam Marzenie jest spełnianie marzeń dzieci w wieku 3-18 lat, cierpiących na choroby zagrażające ich życiu. Przez swoją działalność chcemy dostarczyć chorym dzieciom i ich rodzinom niezapomnianych wrażeń, które pozwolą choć na chwilę zapomnieć o cierpieniu, wniosą w ich życie radość, siłę do walki z chorobą i nadzieję na przyszłość. Od początku naszej działalności aż do dziś spełniliśmy w sumie ponad 7000 marzeń chorych dzieci, dzięki aukcji Projektu Marzenie będziemy w stanie spełnić dziesiątki albo setki nowych marzeń. Ile to już zależy od Państwa.

Monika Kozłowska
koordynator o. Warszawa

I ANDRZEJ SEWERYN

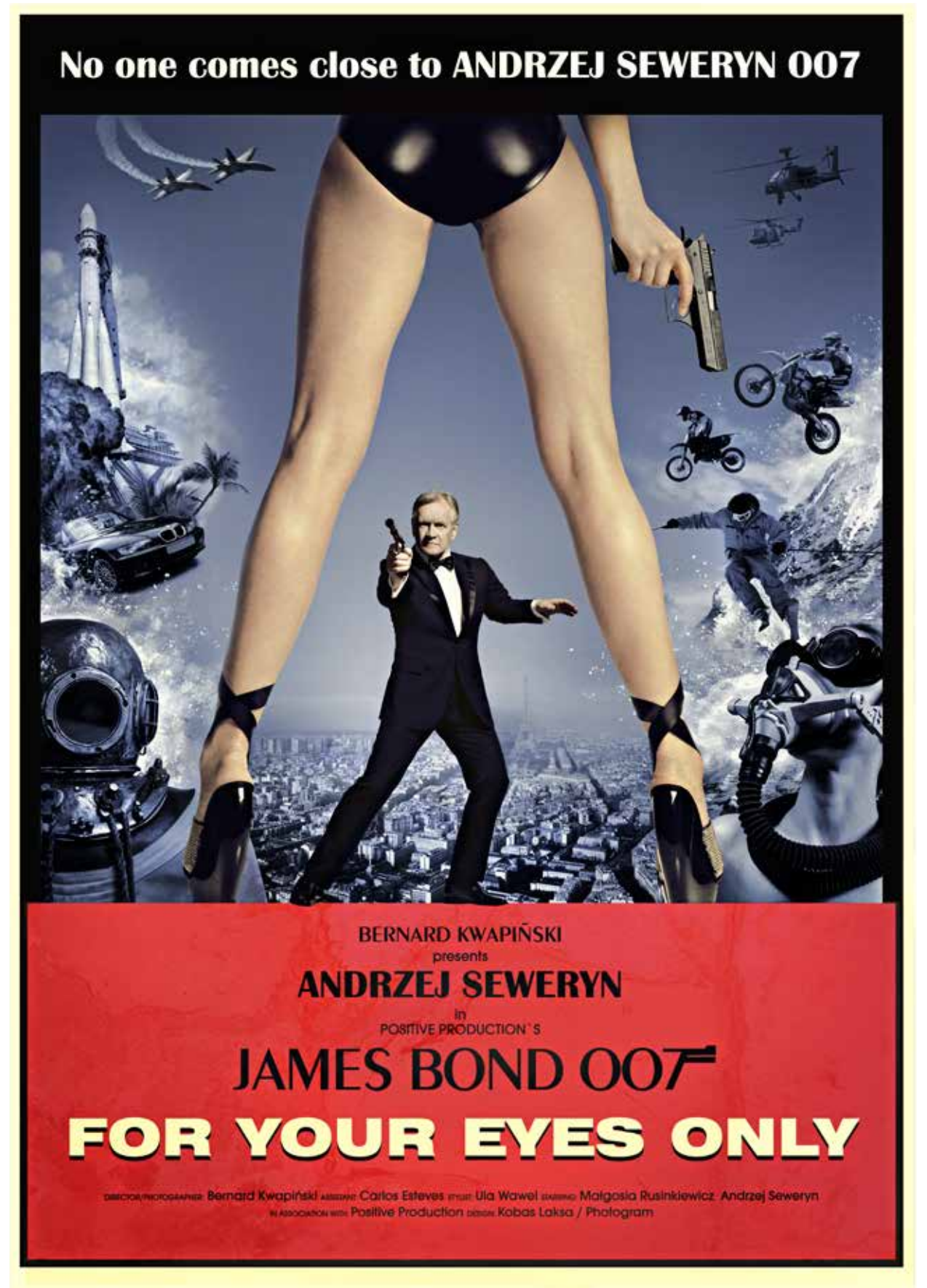
FOT. BERNARD KWAPIŃSKI

James Bond, 2007/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 71 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„W moim osobistym zbiorze ikon popkultury istnieje trzech Jamesów Bondów. Ten, grany przez Seana Connery’ego i Pierce’a Brosnana. Ale w pewnym momencie, dla żartu, pomyślałem sobie – a jak właściwie wyglądałby polski James Bond?! I wyszło mi, że w Polsce jest jeden – Andrzej Seweryn”.

ANDRZEJ SEWERYN



JAMES BOND

James Bond jest ważny w Pana życiu?

Cóż za pytanie!? Dla każdego mężczyzny, który chce być traktowany jak prawdziwy mężczyzna, agent 007 musi być bardzo ważny! Bond dla facetów jest postacią mityczną, celem ostatecznym wszelkich działań. (śmiech) I dlatego też, od razu pomyślałem o nim, kiedy zapytano mnie, o najsłynniejsze marzenia z czasów dzieciństwa.

I jak się Pan czuł przy realizacji swojego marzenia?

Przed wszystkim traktowałem to jako żart i cieszę się, że udało mi się ze świetnymi osobami ten żart zrealizować! W moim osobistym zbiorze ikon popkultury istnieje trzech Jamesów Bondów. Ten, grany przez Seana Connery'ego i Pierce'a Brosnana. Ale w pewnym momencie, dla żartu, pomyślałem sobie – a jak właściwie wyglądałby polski James Bond?! I wyszło mi, że w Polsce jest jeden – Andrzej Seweryn (śmiech).

Czyli Bond dla Pana to ikona męskości. Co się kryje jeszcze za tym marzeniem?

Oczywiście kryje się pod tym wszystkim marzenie o wspaniałej kobiecie! Bond jest przecież otoczony pięknymi i fascynującymi kobietami. Nawet na naszym zdjęciu udało się to świetnie uchwycić. Muszę jednakże od razu przyznać, że to marzenie o wspaniałej kobiecie mi się zrealizowało! Jest nią moja żona.

A inne marzenia, które są motorem działań w dorosłym życiu?

Moje marzenie dorosłe to wystawić „Dziady” Mickiewicza we Francji. Ale to marzenie nigdy się nie zrealizuje... Nie ma środków, nie ma sojuszników.

A dlaczego właściwie nie?!

Do tego trzeba francuskich pieniędzy, a Francuzi ich nie dadzą na jakąś dziwaczną sztukę z Polski...

Wracając do Bonda, to żartobliwie można powiedzieć, że Bond walczył przez lata z sowieckim systemem, ale pan także. W końcu działał Pan w opozycji i nawet siedział w więzieniu.

To za dużo powiedziane. Ja siedziałem tylko 4 miesiące, bo rzucałem jakieś

tam ulotki. Nie jestem kombatantem i nigdy nie będę chciał takiej gęby sobie nakładać. Miałem swoje poglądy, mam je, mam przyjaciół, nigdy swoich przyjaźni się nie wypieram, natomiast znam swoje miejsce w szeregu.

Konflikt zimnowojenny napędzał akcję pierwszych „Bondów”.

Tak. Ale dzisiaj James Bond walczy z Koreańczykami i czasami już nie wiadomo z kim i o co. (śmiech). Myślę że jest to znak czasów i to pieniądz, przede wszystkim, jest najpoważniejszym bohaterem „Jamesa Bonda” (śmiech).

I bardzo ekskluzywne gadżety.

Ale te gadżety są wspaniałe! Te samochody, kobiety, stroje, sposób robienia zdjęć, oświetlenie, wnętrza – to wszystko jest fantastyczne!

Craig jest takim błękitnookim bożyszczem – to pokazuje, że świat zachodniej kultury jest bezdyskusyjnie fantastyczny.

Nie wiem, do jakiego stopnia ten film może być traktowany jako film propagandowy. Choć rzeczywiście różne części świata walczą z Zachodem, w taki czy inny sposób – naukowo, artystycznie, ekonomicznie, czasami zbrojnie.

To jest marzenie o bohaterze ratującym świat.

Jakby poważnie traktować bajki, takie jak „Władca pierścieni” czy „Hobbit”, to cała kinematografia przedstawia to marzenie. Ono jest potrzebne. Na tym marzeniu świetnie się zarabia (śmiech).

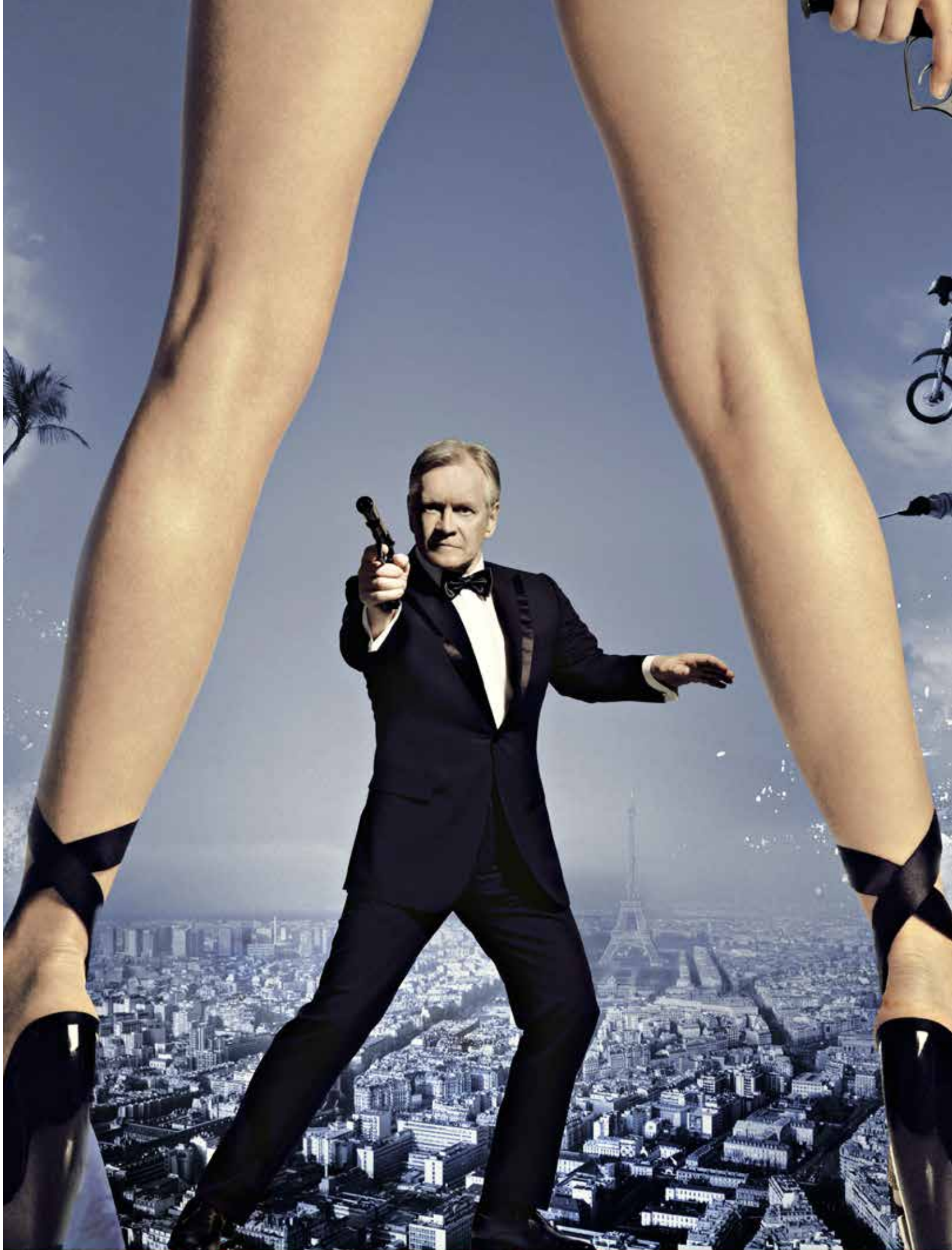
Marzenia napędzają spiralę konsumpcji?

Oczywiście. Bo przez marzenia rozbudza się nasze potrzeby. Tylko trzeba umieć rozróżnić – co jest tylko marzeniem, a co realną potrzebą...

Czego dziś potrzebuje Andrzej Seweryn? Pana realne potrzeby?

Kiedyś się marzyło o tym, żeby mieć zamszowe buty. Dostałem te buty. Tylko gdy wyszedłem na deszcz, to one się rozpadły. Czasami marzeniem była ortalionowa kurtka czy nylonowa biała koszula w latach 60. Ale dziś to jest po prostu... trwanie. Życie po prostu... To moje marzenie i moja skryta i najgłębsza potrzeba.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



2

BEATA TYSZKIEWICZ

FOT. BERNARD KWAPIŃSKI

Zwykła Kobieta, 2014/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 75 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + 1 AP'

„Myślę, że wszyscy myśleli: przecież, aktorka powinna mieć wyjątkowe marzenia. Powinna marzyć o tym, by zagrać Gertrudę w „Hamlecie”, czy choćby „Antygonę”. A ja, ku zaskoczeniu wszystkich, chcę być tym, kim jestem i z czego jestem najbardziej dumna – kobietą zajmującą się domem”.

BEATA TYSZKIEWICZ



Pani Beato, Pani jak zwykle, zaskakuje. Mogła Pani wykreować najbardziej niesamowitą sesję opartą na najbardziej szalonym marzeniu, a Pani chce być po prostu...zwyczajną kobietą.

Wszyscy są zdziwieni, że jako spełnienie marzeń wybrałam bycie zwykłą kobietą. Myślę, że wszyscy myśleli: przecież, aktorka powinna mieć wyjątkowe marzenia. Powinna marzyć o tym, by zagrać Gertrudę w „Hamlecie”, czy choćby „Antygonę”.A ja, ku zaskoczeniu wszystkich, chcę być tym, kim jestem i z czego jestem najbardziej dumna – kobietą zajmującą się domem. Bardzo bawi mnie obserwowanie, jak bardzo to nie pasuje do mojego „image'u”. Mój koncept wciąż budzi zdziwienie. **Pozując na zwyczajną kobietę, Pani również odwraca stereotyp. Chce Pani pokazać, że mocno odstaje od tego, jakie na Pani temat jest potoczne wyobrażenie?**

Zawsze odstawiałam od wyobrażeń na mój temat. Zwyczajne życie ma w sobie tyle urody i piękna, że to właśnie ono wydaje mi się najbardziej interesujące. Na tym zdjęciu to właśnie chciałam pokazać.

Pani od początku była naznaczona wyjątkowością.

Moja matka mnie urodziła w Pałacu w Wilanowie, ale przecież nie wybiera się ani matki, ani miejsca urodzenia. To żadna moja zasługa. Mama zawsze spędzała tam lato i także lato 1939. Moja ukochana mama wychowywała mnie i mojego brata w trudnych czasach. W czasie wojny moi rodzice stracili się z oczu i nigdy już się nie zobaczyli. Mojego dziadka rozstrzelali Niemcy. Moja mama, po różnych perypetiach, odnalazła nas w Nieborowie. Po wojnie było bardzo ciężko i moja matka uczyła mnie, jak niewiele potrzeba do szczęścia. Że wszystko jest kwestią dobrej organizacji, szybkich decyzji i pokory.

Myślę, że to Pani zdjęcie dobrze pokazuje, jak wielkie piękno jest ukryte w zwyczajności, w minimalizmie.

Jestem tego pewna... Ja zawsze muszę coś wyjątkowego wnieść do projektu, a nie przebrać się za damulkę, siedzieć na kanapie i wachlować się wachlarzem.

Ale też jest Pani pewnym mitem. Mitem kobiety absolutnie pięknej, arystokratycznej, wyniosłej...

Ja jestem przede wszystkim osobą niezależną. Dopiero potem tym wszystkim, o czym Pani mówi...

A ten ziemniak z którym się Pani sfotografowała? To nie jest chyba obojętne warzywo, prawda?

To warzywo podstawowe!

Wszystkim się wydaje, że Pani je ambrozję i jest obsypana brokatem. Jak mnie pytają dziennikarze co jadłam na śniadanie, to mówię, że służący podają mi sok z pomarańczy, marchwi i papai. Opowiadam to, dlatego że ludzie bowiem tego oczekują. Nie opowiadam, że piorę, wożę do magła, jestem zaprzyjaźniona z tym samym magłem od 40 lat i noszę tam te torby z pościelą już latami... To jest moje życie. To jest prawdziwe życie. Ja lubię brać udział w czymś, co jest prawdą.

Jak młode kartofle z koperkiem i zsiadłym mlekiem? Do tego kalafiorek lekko rozgotowany?

Nic lepszego!

To takie oczywiste, prawda!?

Z tymi ziemniakami jest związana nasza rodzinna anegdota. Zaraz po wojnie były dostarczane do Polski puszki UNRRA. Była w nich głównie wołowina z kartoflami. Produkowano to na front dla amerykańskich żołnierzy, ale zostało tego chyba sporo i dożywiano tym politycznie i anty-rosyjsko Polskę. Ja to uwielbiałam. Chyba dodawali tam coś, jak do karm kotów, bo byłam uzależniona od tych puszek. Ale puszki się skończyły. Zimna wojna była w pełni. Plakałam strasznie, że nie ma już tej wołowiny z kartoflami... To był dramat małej dziewczynki. I często chciałam jeść tylko ziemniaki. Rodzice się zgodzili. Kiedy dzwonili do moich rodziców znajomi, a ja – zafascynowana ebonitowym telefonem czterolatka, – zawsze pierwsza odbierałam, oni grzecznościowo pytali: Co, kochanie, jadłaś na obiad? Odpowiadałam: Kartofle. A na drugie co było Beatko? Kartofle – szczerze odpowiadałam. A na deser? Też kartofle. Byli przerażeni.

Teraz widzę, że ten kartofel ma dla Pani wartość sentymentalną... (śmiech) Wielka jest moc kartofla w naszym nadwiślańskim kraju.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



3

JERZY STUHR

FOT. BERNARD KWAPIŃSKI

Pisarz, 2014/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g, 98 x 67 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1 AP"

„To marzenie, o którym mówię trochę w nawiasie, jest ściśle związane z moim dążeniem do wolności. To co robię zawodowo ją ogranicza. Teatr, który oczekuje, że będę artystą o 19.30, albo film, w którym na plan jedzie siedem tirów i cała organizacja życia zależy od tylu osób. Natomiast, jak wezmę pióro i siądę przed kartką papieru, to czuję się wolny”.

JERZY STUHR



Panie Jerzy, czy jako dziecko był Pan marzycielem?

Tak.Ale wiąże to z tym, że moją wyobraźnię rozwijały wtedy głównie opowieści i książki.Ważne też były przedstawienia szkolne. Mama musiała mi szyc kostiumy.D'Artagnana,Trzeciego Chłopca z sankami w wielkiej inscenizacji „ Królowej Śniegu.”, grałem króla w jakiejś innej bajce. Co chwilę były jakieś przebieranki.

Zwykle chłopcy chcą być konduktorem, policjantem, kominiarzem...

Nie, ja chciałem być leśnikiem.Brało się to z lektur Karola Maya. Winnetou, Old Shatterhand,to byli idole mojego dzieciństwa. Ale wiązało się to też z potrzebą poszukiwania wolności. Mój ojciec miał taki pierwiastek wolnościowy w sobie, który realizował tak, że co sobotę musiał wyjść w góry.To była wolność na tamte czasy. Brał mnie, mamę i co sobotę szliśmy w góry po Beskidzie Małym, Beskidzie Wyspowym. Znaliśmy wszystko na pamięć. Nikt nas nie podsłuchiwał, nikt nas nie śledził.To gdzieś zapadło we mnie.

Na fotografii portretującej Pana marzenie jest Pan pisarzem.

To marzenie, o którym mówię trochę w nawiasie, jest ściśle związane z moim dążeniem do wolności.To co robię zawodowo ją ogranicza. Teatr, który oczekuje, że będę artystą o 19.30, albo film, w którym na plan jedzie siedem tirów i cała organizacja życia zależy od tylu osób. Natomiast, jak wezmę pióro i siadę przed kartką papieru, to czuję się wolny.

Kiedy pojawiła się u Pana ostatecznie myśl: chciałbym być pisarzem?

Tak naprawdę wiele zmieniła choroba, która po prostu przeorganizowuje życie. Nagle masz bardzo dużo czasu, nagle jest wokół ciebie pusto. Lekarz wychodzi po 9.00 i właściwie nic wtedy nie ma do roboty, a przecież chęć wypowiedzi jest ciągle. Czy jesteś chory, czy zdrowy masz opinie na różne tematy.

W szpitalu narodził się zdyscyplinowany pisarz?

Dwie książki napisałem w chorobie. Pierwsza nie miała dyscypliny dziennika, ale w drugiej była data i powinienem robić notatki codziennie. Czasami nie miałem pomysłu, więc wtedy bierałem się w sobie, nie chciałem siedzieć w łóżku, ubierałem się, golilem, sprawdzałem maile, szukałem inspiracji i tak się zaczynał dzień.

Jakim pisarzem chciałby Pan być?

Nie mam odwagi pójść w fikcję. Może to jeszcze przede mną. Cały czas krąże wokół swoich przemyśleń. Za namową Wydawnictwa Literackiego piszę teraz książeczkę na trzydziestolecie „Kontrabasisty”. Książeczka jest o przygodach kontrabasisty, ale nie tylko o moich przygodach z kontrabasem, ale też o kondycji aktorstwa, teatru i sztuki. Książka będzie się nazywać „Ja kontra–bas”.

Jaki jest Pana ulubiony pisarz, do którego zawsze chce Pan wracać?

To się zmieniało, ale chyba Bolesław Prus, co parę lat wracam do „Lalki”. **Może chciałby Pan być Jerzym Pilchem?** Byłem Pilchem. Jurek jest kilka lat młodszy i też był w Krakowie na polonistyce. Uczyli go ci sami profesorowie, mamy podobne poczucie humoru i widzenie świata. Przeczytałem jego książkę „Spis cudzołóżnic” i pomyślałem: to przecież moje życie, tylko ktoś to lepiej opisał.

Czy ma Pan szalone marzenia?

Erotyczne.Teraz może bardziej w snach: na przykład na jachcie ze Stefanią Sandrelli.Ależ ja się w niej kochałem.

Czy było jakieś wydarzenie, które przekroczyło wszystkie Pana wyobrażenia i marzenia?

Są takie króciutkie momenty związane z życiem zawodowym. Na przykład 1997 roku idę po czerwonym dywanie w Wenecji, gra muzyka z filmu Felliniego, obok mnie Kasia Figura, Dominika Ostalowska i Paweł Edelman. Idziemy na projekcję naszego filmu. Fotoreporterzy robią zdjęcia. Nagle patrzę z boku stoi słupek pod którym ja stałem w siedemdziesiątym roku. Miałem wtedy jako student PWST stypendium, stałem daleko i okłaskiwałem Seana Connery'ego, który przyjechał promować nowego Bonda.To jest taki moment, którego nie zapomnę. Świadomość, że z tamtego chłopaczka spod murku wskoczyłem na czerwony dywan.

Myslałam, że to może ten moment kiedy dowiedział się Pan, że jest Pan zdrowy?

Ale mi nikt nie powiedział ostatecznie, że jestem zdrowy. Dzisiaj jestem zdrowy, ale tu z marzeniami bym uważał.

Rozmawiała Alicja Resich-Modlińska



MARYLA RODOWICZ

FOT. PIOTR PORĘBSKI

Lara Craft, 2015/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
 Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 98 x 72 cm
 sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„Patrzę na moją mamę, która też była zawsze dla mnie typem niezniszczalnej wojowniczkii, a wcześniej babcia. „Po kądzieli” – jesteśmy bowiem „twardzielkami” i „fajterkami”. Patrząc na historię, na to co przeżyły kobiety w mojej rodzinie – muszę oddać im szacunek i uznać, że były i są niezwykle. Że jest w nich ogromna siła, którą i ja dziedziczę”.

MARYLA RODOWICZ



Jaka prawda o Pani kryje za symbolem Lary Croft?

Jestem typem wojowniczką. Dziś widzę to wyraźnie, że kobieta całe życie walczy.Walczy ze wszystkim: z życiem, ze sobą...

Jak się walczy ze sobą?

To jest ten najtrudniejszy rodzaj walki. Przebiega w ciszy.W naszej głowie, w naszym umyśle. Człowiek musi zmagać się ze swoimi ograniczeniami, np. uprawiając sport. mimo braku predyspozycji na przykład.Trzeba ruszyć ciało. Na szczęście od dziecka miałam kontakt ze sportem, z ruchem, więc mi łatwiej. Jestem fanką tenisa, właśnie skończyłam lekcję. Gram codziennie. Jutro nie gram, bo mam koncert, niestety (śmiech). Już się tak zakręciłam, że koncerty, czy inne zawodowe zajęcia mi przeszkadzają. Ja gram dość agresywnie, to nie jest tylko takie „pykanie”. Lubię dobrze „przyłożyć”.

Lara to postać z gry komputerowej, która jest niezniszczalna.

Mam wrażenie, że też jestem niezniszczalna.Tak uważam i tego się będę trzymać (śmiech). Na przykład, jeżeli chodzi o sprawność fizyczną i psychiczną. Patrzę na moją mamę, która też była zawsze dla mnie typem niezniszczalnej wojowniczką, a wcześniej babcia. „Po kądzieli!” – jesteśmy „twardzielnkami” i „fajterkami”.Patrząc na historię, na to co przeżyły kobiety w mojej rodzinie, muszę oddać im hold i uznać, że były i są niezwykle. Że jest w nich ogromna siła, którą i ja dziedziczę.

Już więc wiem, że jest pani wojowniczką, ale może Pani o sobie powiedzieć, że jest odważna?

Oczywiście (śmiech). Sprawdziłam to bardzo wcześnie, bo już w dzieciństwie (śmiech). Podwórko było miejscem, gdzie były bandy.Ja byłam hersztem jednej z nich. Uprawialiśmy ciągle gonitwy, czyhały na nas ekstremalne sytuacje. Pamiętam balkon mojej koleżanki – domy się stykały, więc przechodziło się przez okno na balkon albo z balkonu do okna. Koleżanka zresztą spadała.To były bardzo niebezpieczne zabawy i trzeba było być bardzo odważnym i nie mieć wyobraźni, żeby brać w nich udział. To wszystko było bardzo ryzykowne. Często slišmy nad Wisłę, która we

Włocławku jest szeroka.Tam był ogromny, stary zakład produkujący celulozę, który wypuszczał ścieki do Wisły, w związku z czym przy brzegach porobiły się skałki, jak na Marsie:rudo-czerwone.A my – nieustraszone dzieciaki – przeskakiwaliśmy z jednej na drugą. Dołem płynęła rwąca Wisła... Dziś serce mi zamiera, kiedy o tych zabawach pomyślę. Zdarzały się też wspinaczki po przesłach mostu, po rusztowaniach.

Lara jest bardzo wysportowana. Pani też uprawiała wyczynowo lekkoatletykę.

Zaczęłam uprawiać sport, kiedy byłam w piątej klasie podstawowej.Treningi miałam prawie codziennie, Jakie tam panowały warunki! Szatnia była nieopalana,WC na haczyk, a zamiast papieru wisiły na gwoździu gazety. Pamiętam, kiedy mój najmłodszy syn Jędrzek chodził do szkoły podstawowej i postanowił trenować piłkę nożną.Raz pojechał na trening i stwierdził, że w szatni jest strasznie zimno i śmierdzi. I to był koniec jego sportowej kariery.Śmiałam się – bo gdyby on wiedział, co ja przesłama w tych moich szatniach w dzieciństwie! Mieliśmy w klubie koszmarnie brudnoszare dresy i nawet zimą biegało się po śniegu w płóciennych trampkach.

Ze sportem jest tak, że uczy on nas odwagi. Bo trzeba mieć odwagę, żeby zaryzykować przegraną. Bo przecież nie zawsze się wygrywa.

Absolutnie uważam, że sport mnie wychował. Nauczył wiary we własne siły. Dzięki niemu wyraźnie widać, że jak więcej pracuję, to będę lepsza, będę miała lepszy wynik. Jak przegram, to też trzeba umieć się podnieść i pracować dalej.

Lara umie strzelać, czy Pani też umie?

Uwielbiam strzelać. I trafiać. Przyjaźniłam się z gen. Petelickim założycielem jednostki Grom i często byłam zapraszana na poligon. Mam cęla. Jest taki świetny karabin maszynowy – MP5 – mój ulubiony (śmiech). Jest krótki, lekki i bardzo celny.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



5

EDWARD DWURNIK

FOT. KOBAS LAKSA

Być Rolling Stonesem, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 68 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„(...) pomyślałem sobie, że może ja za niego się przebiorę, założę perukę i tak dalej. Ale okazało się, że za Stonesów nie można się ani przebierać, ani do nich przystępować. Było mi szkoda, bo przecież umiem grać na gitarze”.

EDWARD DWURNIK



MIELI MOC!

Oczywiście, że chciałem być jak Mick Jagger; tym bardziej, że jesteśmy z tego samego rocznika. Albo jestem minimalnie starszy od niego, bo oni wszyscy są chyba z 1943 roku. Rzecz jasna byłem na ich warszawskim koncercie i to tym pierwszym, bo były dwa.

Studiowałem wtedy na rzeźbie, u Jerzego Jarnuszkiewicza. Chłopiec, który nam pozował powiedział, że może będzie miał bilety na koncert The Rolling Stones w Sali Kongresowej, bo jego matka pracowała tam, jako bileterka. I rzeczywiście przyniósł te bilety. Poszedłem z nim, a Tereska, moja ówczesna narzeczona, była strasznie wkurzona, że jej nie zabrałem.

To rzeczywiście było niesamowite przeżycie. Siedzieliśmy gdzieś bardzo wysoko, ale miałem fajną lornetkę. I pierwszy raz zetknąłem się z ostrym nagłośnieniem na koncercie. Oni mieli wtedy moc. A ja mogłem się czuć jak wybraniec losu.

W Warszawie Stonesi mieli po te swoje dwadzieścia kilka lat i byli super. Oglądałem jakiś czas temu ich koncert i teraz to jest śmiechu warte. Faceci prawie osiemdziesięcioletni latają po scenie i się wygłupiają... Rock jest przywilejem młodości. Ale fakt, Mick Jagger ostatnio zrobił sobie nowe dziecko i to świetnie, bo przynajmniej jest dobrym dawcą.

Jakiś czas temu byli u nas znowu, na Wyścigach. Mój kumpel Antek mi proponował, żebyśmy poszedł z nim, ale jakoś tego nie czułem, a może się upiłem, bo sporo rzeczy zawałam, przez mój ograniczony alkoholizm. A ja muszę to kontrolować, żeby nie wpaść w kanał i nie zdechnąć jak wielu, wielu moich znajomych.

Nigdy ich nie namalowałem, ale muszę opowiedzieć historię mojego pierwszego wyjazdu do Paryża, która zrosła się dla mnie ze stonessami. Gdy wróciłem w 1967 z Paryżu, to przywiozłem wszystkie analogi, które wówczas mogłem dostać: Stonesów, ale też Beatlesów, Boba Dylana czy Joan Baez. Miałem straszną nadwagę bagażu, musiałem coś powywalać, żeby mi tę moją walizkę zabrali, a ona i tak ważyła ze trzydzieści kilo, zamiast dwudziestu. A z tą podróżą było tak. W Warszawie poznałem Francuzkę, Georgette. Zaproszenie do Francji załatwiła mi Ewa Kuryluk, przez jakąś

swoją francuską przyjaciółkę. Włożyłem sto dolarów do skarpety, bo tyle kasy nie wolno było wywozić z PRL-u i pojechałem. Gdy przyjechałem, zamieniłem dolary na franki i za wszystko zapłaciłem. Pobyt w dzielnicy łacińskiej, niedaleko Ogrodu Luksemburskiego. W Paryżu spotkałem się znów z Georgette, która przede wszystkim zabrała mnie z tego hotelu. Właściciel oddał mi pieniądze. A w walizce miałem pełno kielbas, wódki, sardynek...

Georgette zaprowadziła mnie do mieszkania, bardzo znanego krytyka sztuki, Francuza, którego nazwiska nie pamiętam, a który właśnie dzień wcześniej zmarł. Bo ona miała plan, żeby mnie z nim poznać, no i żeby on mi pomógł zrobić karierę we Francji, no ale trochę się spóźniła. Dalej jednak opiekowała się jego mieszkaniem i żoną która w nim została. Georgette ulokowała mnie w chambre de bonne, czyli w służbówce nad tym mieszkaniem. W pewnym momencie dołączył tam do mnie jeszcze pewien Jean. Miewał czasem LSD, którego wtedy próbowałem po raz pierwszy, ale które nie robiło na mnie specjalnego wrażenia. Co ważne Georgette załatwiała dla mnie różne artystyczne zlecenia, na przykład namalować bitwę pod Grunwaldem, bo jacyś tam Polacy mieszkający w Paryżu bardzo chcieli mieć. Namalowałem kilka takich obrazów i kilkadziesiąt innych. I tym handlowaliśmy. Pewnego razu na Saint-Germain-des-Prés spotkaliśmy grupę izraelskich żołnierzy i im też te obrazki wcisnęliśmy, po ile tam mieli. Przy mnie Jean też zaczął malować, coś mu poprawiałem, pomagałem i sprzedawaliśmy. Opowiadałem mu o koncercie Stonesów, na którym byłem i że chciałbym kupić płyty Baez, Dylana, Stonesów. Beatelsi wydali właśnie wtedy „Żółtą łódź podwodną”, więc to też chciałem mieć. Poszliśmy do sklepu z płytami i kupiłem wszystko. Zrobili mi specjalną walizkę na to, bo to ciężkie było jak jasna cholera. I tak właściwie wszystko, co zarobiłem, wydałem na te analogi, ale miałem świetną kolekcję.

Na początku był ze Stonessami jeszcze Brian Jones, który utopił się czy został zamordowany, albo jakoś jeszcze inaczej i pomyślałem sobie, że może ja za niego się przebiorę, założę perukę i tak dalej. Ale okazało się, że za Stonesów nie można się ani przebierać ani do nich przystępować. Było mi szkoda, bo przecież umiem grać na gitarze...

Spisał: Bogusław Deptuła



JERZY VETULANI

FOT. MICHAŁ SZLAGA

Polawiacz pereł, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g, 98 x 68 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1AP"

„Warto zatrzymywać marzenia na tym poziomie nierealności i delectować się nimi. To podnosi poziom dopaminy w jądrze półleżącym, strukturze odpowiedzialnej za odczuwanie przyjemności. Kto nie marzy, chyba nigdy nie będzie szczęśliwy”.

JERZY VETULANI



Czy tak naprawdę z punktu widzenia neurobiologa jest marzenie?

Wow, to jest bardzo ciekawe pytanie! Nigdy się nad tym się nie zastanawiałem, ale mogę powiedzieć tak: w marzeniach występują dwie składowe – składowa emocjonalna i składowa celowa. Składowa emocjonalna ma dostarczać przyjemności. W ten sposób marzenia pobudzają nasz układ nagrody. Marzenia dają nam przyjemność, satysfakcję. Lubimy przecież posiedzieć sobie na leżaku w słońcu i pomarzyć o Filipinach, lub o Filipinkach (śmiejch). Mózg próbuje sobie wyobrazić, jakbym się zachowywał w takich warunkach i jakiego rodzaju zdobywałbym satysfakcję w wymarzonej sytuacji. Marzenia o przyjemnościach to bardzo ważna składowa nagrody, bardziej poszukiwana niż jej część apetytywna. Poza tą składową emocjonalną w tych marzeniach jest jeszcze dość często element racjonalny, celowy. Na końcu zastanawiamy się jak marzenie wcielić w życie. Warto zatrzymywać marzenia na tym poziomie nierealności i delektować się nimi. To podnosi poziom dopaminy w jądrze półkuli, struktury odpowiedzialnej za odczuwanie przyjemności. Kto nie marzy, chyba nigdy nie będzie szczęśliwy.

To w takim razie porozmawiajmy teraz o Pana najsłynniejszych marzeniach.

Oczywiście, zawsze marzymy, żeby było dobrze, żeby było słownie. Jak byłem dzieckiem, to marzyłem, żeby tata wrócił z wojny i wyobrażałem sobie, jak to będzie miło. Marzyłem też, żeby mieć największą kolekcję owadów, bo zbierałem owady od 5-tego roku życia. Marzyłem też w czasie wojny, żeby wziąć udział w Powstaniu Warszawskim i błagałem moją mamę, żebyśmy pojechali do Warszawy w sierpniu '44 roku. Miałem wtedy lat 8 i rozsądną matkę, więc rzecz w ogóle nie wchodziła w rachubę. Mama mówiła, też, że jako dziecko zawsze marzyłem, żeby przejść przez wszystkie ulice w Krakowie. Tak więc te moje dziecięce marzenia dotyczyły eksploracji i szczęścia osobistego. Dziś widzę, że marzenia mogą być albo skonkretyzowane; wtedy człowiek robi coś w tym kierunku, żeby te marzenia się ziściły. Mogą być fantazjowaniem – że np. chciałbym wygrać 30 milionów w totolotka. To są marzenia teoretycznie spełnialne, których

się jednak nie realizuje. Bo tak jak ja – ani razu w życiu nie poszedłem do kolektury. Ja je nazywam „marzeniami leniwymi”. Miałem też bardzo konkretne marzenie – żeby być w czymś dobrym.

Czego jeszcze chciałby Pan spróbować? Co może być takim marzeniem leniwym połączonym z marzeniem konkretnym?

Jako dziecko chciałem być poławiaczem pereł. Czytałem opowiadania o poławiaczach pereł i bardzo chętnie bym się w ten podwodny świat przeniósł. Tam też przecież można spotkać złote rybki i syreny. Podobno jak się urodziłem, moja mama powiedziała: życzę ci, żebyś był dobry i szczęśliwy. Więc ja złotej rybce bym powiedział: słuchaj, zrób tak, żebym był dobry i szczęśliwy. Chciałabym ją poprosić, żebym nie zaczynał odczuwać pewnych drobnych deficytów w pamięci roboczej, osłabienia zmysłu równowagi czy spowolnienia chodu biegania. No i żeby zatrzymała proces tracenia wzroku.

Wracając do marzenia o byciu poławiaczem pereł – czy długoletnie eksperymenty i badania nie są trochę jak schodzenie w głębinę, w nieznane?

Każdy uczony powinien mieć ciekawość, chęć odkrycia i chęć podjęcia pewnego ryzyka, bo badania, to wchodzenie w fascynujący, nowy świat. Nie zawsze przyjazny.

Gdyby tak metaforycznie powiedzieć, co w Pana życiu było tą perłą, po którą udał się Pan w głębinę?

Zapewne była nią publikacja moich odkryć w „Nature”. To obiektywnie były perły – nowa hipoteza, która wzbudziła zainteresowanie w świecie uczonych. To oczywiście nie była tylko moja zasługa, ale też fantastycznego, nieżyjącego już Fridolina Sulsera. To była właśnie ta chwila. Nagle byłem gwiazdą w Stanach i pewnie bym szedł taką drogą, gdyby nie to, że ze względów emocjonalnych musiałem wrócić do Polski. Przyjechałem dla mojego ojca, żeby być przy nim, kiedy mama odeszła. To była dobra decyzja i dla mnie, i dla niego. Więc gdzie właściwie są te perły? Chyba są wszędzie, tylko trzeba ich szukać, bo się bardzo kryją.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



7

ANDA ROTTENBERG

FOT. PSZEMEK DZIENIS

Spokojna śmierć w otoczeniu rodziny, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 79,5 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + IAP'

„(...) żeby odejść w spokoju i godności, trzeba umieć pogodzić się z tymi, których się skrzywdziło.
To sytuacja idealna, nie zawsze możliwa w realnym życiu”.

ANDA ROTTENBERG



Miałśmy rozmawiać o marzeniach, a będziemy rozmawiać o...

...śmierci. A właściwie o prawie do eutanazji na życzenie.

Co się musi wydarzyć w życiu człowieka, żeby wpadł na taki pomysł?

Nie umiem dokładnie określić, w którym momencie życia o tym pomyślałam. To był dość długi proces. Od jakiegoś czasu przyglądam się, jak odchodzą różne osoby z kręgu moich bliskich. Niektórzy zostali skazani na ogromne cierpienie, a jeśli umierają w szpitalach, lekarze torturują ich dodatkowo zabiegami uporczywie podtrzymującymi życie – ponieważ jest to zgodne z ich etyką, czy światopoglądem. W dzisiejszych czasach, kiedy istnieją tysiące sposobów podtrzymywania biologicznego życia, przysięga Hipokratesa jest chyba zbyt dosłownie rozumiana. Owszem, należy ratować, ale może niekoniecznie za wszelką cenę, szczególnie kiedy pacjent prosi o odstąpienie od tej procedury. Moja przyjaciółka stale nosi przy sobie oświadczenie, iż nie chce żeby ją uporczywie ratowano, ale nie ma gwarancji, że to poskutkuje. A pacjent jednak powinien mieć prawo nie życzyć sobie, aby go torturowano przed śmiercią. Poza tym istnieje coś takiego jak nieszczęście długiego odchodzenia, w męce, kiedy człowiek nie może sobie w niczym pomóc, jest zdany na innych, staje się dla nich ciężarem, degraduje się we własnych oczach. Nie ma przepisu, który pozwala na to, żeby mu to odchodzenie skrócić czy przyspieszyć. Nic nie reguluje tak zasadniczego prawa człowieka, jakim jest prawo do odejścia w sposób, który uzna za dobry dla siebie. A ja chciałabym takie prawo mieć.

Do eutanazji, która nazywana jest „dobrą śmiercią”.

To nie jest właściwa nazwa. Śmierć nigdy nie jest dobra. Ludzie jednak tak bardzo się jej boją, że odsuwają myślenie o niej, a potem nie są już w stanie zorganizować sobie godnego odejścia. Ale ja nie chciałabym umierać w taki sposób. Uważam, wbrew temu, co mówi jedna z modlitw, że nagle śmierć

jest wybawieniem. Bo taka śmierć nie pozwala ani na pożegnanie z bliskimi, ani na przyjęcie ostatnich sakramentów. Ale mnie się wydaje, że nagle i niespodziewana śmierć bardzo często jest błogosławieństwem.

Szczególnie w wypadku ludzi, którzy są aktywni i nie chcieliby zmienić pozycji z pionowej na poziomą w ostatnich latach swego życia.

Ja bym nie chciała. Więc mam takie właśnie marzenie.

Od jak dawna Pani o tym myśli?

Szczerze mówiąc już od dawna się „zwijam”. To nie jest „myśl z ostatniej chwili”. Poczucie schyłku towarzyszy mi od bardzo wielu lat. I powoli przygotowuję do tego moich bliskich. Czyszcę mieszkanie z niepotrzebnych rzeczy, uporządkowałam sprawy spadkowe. Zastanawiam się, jak zorganizować transport do Szwajcarii, gdzie się to może odbyć legalnie. W Belgii i Holandii eutanazja jest co prawda dozwolona, ale tylko wobec własnych obywateli. A w Szwajcarii dla wszystkich. Trochę to kosztuje, trzeba się zapisywać, proces jest długi. I trochę mnie do tego zniechęcił Houellebecq w „Mapie i terytorium”, gdzie, jak to on, dość okrutnie opisał te procedury. Ale jest też sympatyczniejsza narracja. Myślę o „Inwazji barbarzyńców”, świetnym filmie sprzed 13 lat, który opowiada o tym, jak mężczyźnie, który popełnił wszystkie możliwe grzechy zaniedbania i który ma terminalnego raka, syn przyprowadza do szpitala wszystkie ważne w jego życiu osoby i organizuje mu pogodne odchodzenie. Jest tam niesamowita scena, kiedy wszyscy bliscy, wszystkie były żony, narzeczone i przyjaciele, siedzą z głównym bohaterem nad jeziorem i się z nim żegnają. A on po prostu odpływa.

Siłą tego filmu jest to, że żeby odejść w spokoju i godności, trzeba umieć pogodzić się z tymi, których się skrzywdziło.

To sytuacja idealna, nie zawsze możliwa w realnym życiu.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



8

KRZYSZTOF PASTOR

FOT. IGOR OMULECKI

Dyrygent, 2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g, 98 x 71 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + 1A'

„Ale pamiętam, że miałem takie przebliski i do dziś mi to zostało – że piękną rzeczą, naprawdę piękną, jest bycie dyrygentem. Oczywiście w jakiś sposób jest to związanie z tańcem, ale z drugiej strony – zupełnie nie”.

KRZYSZTOF PASTOR



Czy Pan lubi marzyć?

Bardzo lubię marzyć o balecie, który jest jeszcze nie zrealizowany, jest w sferze pomysłów. Te marzenia jeszcze nie zderzają się z rzeczywistością, z różnego rodzaju ograniczeniami, więc widzi się to wszystko w niezbyt realistycznym świetle. Moje balety biorą się z marzeń.

A pamięta Pan swoje dziecięce marzenia. Czy one już były związane z baletem?

Pamiętam bardzo dobrze – będąc jeszcze w szkole baletowej – marzyłem o podróżowaniu. Nad stolikiem, przy którym się uczyłem, miałem powieszoną mapę Europy. Pamiętam, że marzyłem o takich miastach, jak Londyn, Amsterdam, Paryż, Lyon. W tamtych czasach nie myślało się specjalnie o Moskwie – to nie była ta destynacja (śmiech). Dziś interesują mnie podróże bardziej egzotyczne. Nie byłem na przykład w Gruzji, a bardzo bym chciał pojechać i zobaczyć Batumi.

O czym jeszcze Pan wtedy marzył? O sławie?

Nie marzyłem o sławie. To nie była kategoria, która mnie interesowała i większość nas, tancerzy nie myślała o wielkiej sławie, nie wydawało nam się to wtedy możliwe. Lubilem tańczyć, ale nie miałem wielkich marzeń, nie byłem zazdrosny o sukcesy innych. Ja się po prostu tym tańcem dobrze bawiłem. Ale pamiętam, że miałem takie przebłyski i do dziś mi to zostało – że piękną rzeczą, naprawdę piękną, jest bycie dyrygentem. Oczywiście w jakiś sposób jest to związane z tańcem, ale z drugiej strony – zupełnie nie.

Dziwne marzenie.

Może się zdawać dziwne, ale kryje się pod tym potrzeba rozwinięcia nieznaney mi do tej pory umiejętności. Ja po prostu nie umiałbym teraz, gdyby zaszła taka potrzeba, dyrygować muzykami. Nie potrafię czytać partytur w ten sposób, że słyszę muzykę i zazdroszczę tym, którzy taki talent i umiejętność posiadają. Oczywiście potrafię śledzić muzykę i kiedy tworzę nowy balet pracuję z partyturą. Widzę, że to jest na 3, na 4, ale muzyka to dużo więcej niż znaki na pięciolinii. Wprowadza mnie ona w stan takiego śnienia na jawie, transu,

zadumy, melancholii, pozwala mi widzieć niezwykle obrazy. Pociąga mnie pewna logika, którą musi się posługiwać dyrygent, ale też widzę, czy też raczej słyszę jak bardzo brzmienie muzyki zależy od jego osobowości. Marzy mi się bycie dyrygentem, który prowadzi orkiestrę, która potrafi porwać publiczność.

W jakimś sensie jest Pan dyrygentem.

W pewnym sensie dyryguję zespołem. Dyrygent, jak choreograf – musi widzieć, ogarniać całość przedsięwzięcia. Dyrygenci też muszą się mierzyć z rzeczywistością. Ostatnio byłem świadkiem takiego zdarzenia zostało 10 minut utworu do zagrania, ale przychodzi już także czas końca próby. Orkiestra pakuje instrumenty i wychodzi (śmiech). To też jest zderzenie z rzeczywistością, ale wydaje mi się że dyrygowanie po prostu jest fajne.

Dyrygent– to długowieczny zawód. Z kolei, gdy jest się tancerzem – jest się dość krótko.

To prawda. Koniec kariery tancerki i tancerza jest około czterdziestki. Dla niektórych może to być dramatyczne i trudne. W sposób trochę przerysowany, ale z elementami prawdy pokazane jest to w filmie „Czarny łabędź” z Natalie Portman. Generalnie odejścia z zawodu nie są łatwe. Coś, czemu poświęciło się życie, nagle znika. I to właśnie to jest ważne – żeby zrozumieć, że to tylko część życia. Że jeżeli przestaje się tańczyć około, powiedzmy, 40-tego roku życia, to ma się jeszcze wiele, wiele lat dobrej kariery w innym zawodzie. I można być szczęśliwym niekoniecznie tańcząc. Mam bardzo wielu kolegów, przyjaciół, którzy robią bardzo różne rzeczy, niezwiązane ze sceną. Na przykład mam bardzo dobrą przyjaciółkę, która była moją muzą jako tancerka. Teraz jest doktorem germanistyki w Amsterdamie, wykłada na uniwersytecie. Mam dwóch kolegów, którzy w Amsterdamie są operatorami kamer. Mam kolegę, który był pierwszym solistą i został stolarzem. Dziś jest szczęśliwym człowiekiem, bo odkrył, że uwielbia robić meble i nie ma dla niego większej frajdy niż stworzyć własnymi rękami coś pięknego i oryginalnego.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



9

PAWEŁ ALTHAMER

FOT. MICHAŁ SZLAGA

Szczęśliwa, prosta rodzina, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 74 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1AP"

„Chciałbym być częścią takiego cudownego miejsca, gdzie natura jest dla mnie i bliskich najważniejszym rozmówcą”.

PAWEŁ ALTHAMER



Lotnisko w Kopenhadze – mam dwie godziny na przesiadkę do Gdańska. Postanawiam zadzwonić do Pawła Althamera i zaproponować mu udział w Projekcie Marzenie. Pytam czy i kim chciał kiedyś być, czy ma jakieś niespełnione marzenie.

– Zawsze chciałem być szczęśliwym człowiekiem i członkiem szczęśliwej społeczności – słyszę.

– Może chciałbym jeszcze uciec z więzienia i poprowadzić za sobą innych – ale ... to też marzenie o szczęściu.

Mówię – ok, ale jak to przełożyć na fotografię? Masz jakieś wskazówki?

– Najlepiej sfotografuj mnie z rodziną i z przyjaciółmi. Był sto lat temu taki malarz w Szwajcarii – Otto Mayer, który zamieszkał na kilkanaście lat w kolonii artystów w górskim Amden nad jeziorem Walen. Artysci, reformatorzy życia, okultyści, spirytystyczni prorocy w tęsknocie za lepszym życiem i w poszukiwaniu Boga stworzyli to miejsce – byli jak pierwsi hipisi. Chciałbym być częścią takiego cudownego miejsca, gdzie natura jest dla mnie i bliskich najważniejszym rozmówcą. Mam takie miejsce, w którym staramy się z Matejką (żoną Pawła Althamera) i bliskimi spędzać jak najwięcej czasu. Przyjedź w Bory Tucholskie za kilka miesięcy. Przyjechałem tam za kilka miesięcy, Płochocinek nad jeziorami Czarne, Łąkosz i Radodzierz.

W międzyczasie rozmawiałem z Pawłem jeszcze o tym jak ma wyglądać fotografia. Zdecydowaliśmy się na technikę mokrego kolodionu. Paweł był ciekawy efektu, ja chciałem przepracować temat na kamerze 8x10 cala i zachować się jak fotograf z początków XX. wieku. Pomimo tego, że sam Otto Mayer z kolodionem raczej się nie spotkał – metoda już od dobrych czterdziestu lat nie była w użyciu – postanowiliśmy przy niej pozostać licząc na spirytystyczne znaki (dla mnie technologiczne niespodzianki, które się nie pojawiły).

W Płochocinku czekało na nas piętnaście osób, pies i koty, które postanowiły jednak uciec z planu. Była niedziela – czekaliśmy na zakończenie mszy świętej i przybycie sąsiadów, którzy przyprowadzili krowę. Wcześniej nad ranem Paweł udekorował okiem opatrności ścianę chaty, przed którą miała powstać fotografia.

Specjalnie z Leeds przyleciał na sesję Michał Drygalski – specjalista od techniki mokrego kolodionu, który rozstawił na polu ciemnię i w niej wywoływał i przygotowywał blachy do naświetlenia. Powstały cztery zdjęcia, wybraliśmy to, na którym krowa ma aureolę.

Michał Szlaga



10

ZBIGNIEW LIBERA

FOT. ANNA GRZELEWSKA

Pustelnik, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 79,5 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„Moich marzeń jest mnóstwo. Mam marzenia, które są tylko na chwilę. Albo takie, które są stosowne do wyjątkowych sytuacji. Są 'marzenia–pomysły', które po prostu są fantazją na temat rozwiązania danej sytuacji. Albo 'marzenia–ulgi', które są po to by nam ulżyło w problemie, choć wiemy, że one nic nie rozwiążą”.

ZBIGNIEW LIBERA



O czym marzy Zbyszek Libera?

A człowiek może mieć tylko jedno marzenie? Ktoś taki istnieje? Nie do wiary! Ja mam wiele marzeń.

A to jedno niespełnione? To, które jest leitmotivem w życiu?

Ooo, to byłoby za fajnie, gdyby tak siebie można było uprościć. Takie „marzenia– motory” życiowe pochodzą raczej z XIX–wiecznych powieści. Moich marzeń jest mnóstwo. Mam marzenia, które są tylko na chwilę. Albo takie, które są stosowne do wyjątkowych sytuacji. Są „marzenia–pomysły”, które po prostu są fantazją na temat rozwiązania danej sytuacji. Albo „marzenia–ulgi”, które są po to by nam ulżyło w problemie, choć wiemy, że one nic nie rozwiązają. Zmieniamy się, a marzenia wraz z nami. Marzenia zmieniają się nam wraz z ze zmianami potrzeb życiowych. One wyrównują poziom zadowolenia ze świata. Gra z marzeniami, to gra jaźni samej z sobą.

Jako dziecko o czym marzyłeś?

Chciałem być archeologiem. A zaraz potem chciałem być księdzem.

Chciałem też być Indianinem. W końcu chciałem być artystą.

A teraz?

O czym myślę najczęściej? Co jest takim powtarzającym się motywem?

W ostatnich latach najczęściej chciałbym być pustelnikiem. Są takie klasztory w których bym się zamknął. Kiedyś byłem w ortodoksyjno–chrześcijańskim klasztorze w Izraelu. Trzeba długo iść przez pustynię, żeby tam dotrzeć. Nazywa się Koziba i jest wykuty w skalnym kanionie w środku pustyni pod Jerozolimą. Mieszkają tam mnisi hodujący kozy, które brykają po zboczach. Mnisi siedzą w jaskiniach. Ci którzy, już tam raz wejdą, nigdy stamtąd nie wychodzą. Wciągają jedzenie po sznurze. Jak koszyczek jest wystawiony, to znaczy, że ten człowiek żyje. A jak nie, to nie. Często myślę ostatnio różnego rodzaju pustelnikach czy eremitach, którzy żyli na pustyni a żywili się szarańczą.

Ale skąd u Ciebie to marzenie?

Bo po za tym co proponuje nasza cywilizacja są jeszcze inne sposoby życia, inne rodzaje przeżywania życia. Chodzi o to, żeby wychylić z tego naszego świata. On nie jest tak atrakcyjny jak sam się przedstawia. Dodatkowo sugeruje, że nic innego po za nim samym nie istnieje.

Co Tobie mówi to marzenie?

Człowiek nie jest prostym urządzeniem do rozszyfrowania. Nikt nie jest jednorodny, bez jakiegoś zagięcia. Wszyscy ludzie składają się ze sprzeczności, z niepotwierdzeń, są o wiele bardziej skomplikowani, niż chcieli by to widzieć policjanci, sędziowie i urzędnicy. I chwala Bogu, że tak jest!

A pamiętasz, kiedy to marzenie o pustelniku, o mistycyzmie przychodzi do Ciebie?

Pod koniec lat 80-tych, interesowałem się gnozą, mistycyzmem.

Od literatury buddyjskiej czy Tybetańskiej Księgi śmierci, poprzez

starogreckie pisma hermetyczne i kodeksy gnostyckie aż po literaturę

wczesnochrześcijańską. Orygenes, Jan od Krzyża i oczywiście, Plotyn.

Wspaniała literatura! Może to się od tego zaczyna, stamtąd się bierze?

Kiedy siedziałeś miesiącami sam w domu, to co robiłeś?

Byłem rzeczywiście bardzo zajęty... Ale zauważyłem, że my rozmawiamy tak, jakbym już był tym pustelnikiem. A to przecież tylko moje niezrealizowane marzenie.

Co Ci przeszkadza je realizować?

To, że musiałbym rzucić wszystko. A nie mogę tego zrobić bo są rzeczy, które niesłuchanie mnie absorbują.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



II
DANIEL OLBRYCHSKI

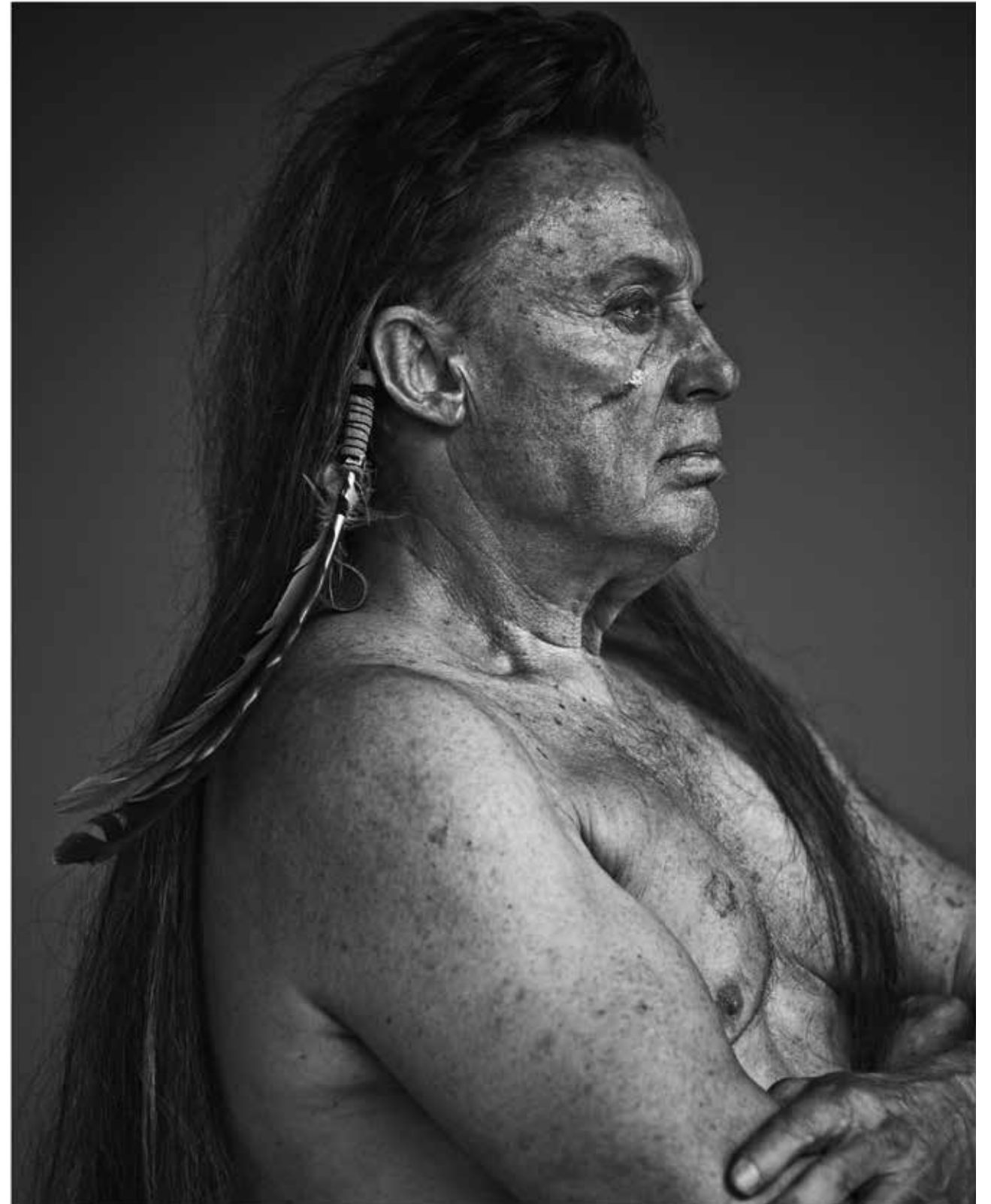
FOT. IZA GRZYBOWSKA

Vinnetou, 2014/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 80 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1AP"

„Raczej nie byłem typem marzyciela. Chociaż jest taki obrazek naszkicowany przez moją mamę. Mieszkaliśmy wtedy na Podlasiu. Mama narysowała mnie w oknie: siedzę tyłem, patrzę w zachodzące Słońce i na dole podpis 'jak pojedę do Warszawy to im pokażę!'”.

DANIEL OLBRYCHSKI



DANIEL OLBRYCHSKI – MARZYCIEL PRAGMATYCZNY.

Czy jako dziecko byłeś marzycielem?

Raczej nie byłem typem marzyciela. Chociaż jest taki obrazek naszkicowany przez moją mamę. Mieszkaliśmy wtedy na Podlasiu. Mama narysowała mnie w oknie: siedzę tyłem, patrzę w zachodzące Słońce i na dole podpis „jak pojedę do Warszawy to im pokażę!”.

Miałeś wtedy pięć lat, w tym wieku zazwyczaj chłopcy marzą o tym by być konduktorem lub policjantem.

Chciałem być wtedy raczej kimś kto decyduje, na przykład motorniczym tramwaju. Wydawało mi się, że jest to w zakresie możliwości kilkuletniego chłopca. A potem zaczęły się już fascynacje sportowe.

I silne przekonanie, że będziesz mistrzem olimpijskim?

Nie byłem tylko pewny dyscypliny. To się zmieniało z każdym rokiem w zależności od tego w jakiej dziedzinie Polacy się wykazywali. Jednak w tamtym czasie boks przyćmił wszystko, bo było aż pięć Mazurków Dąbrowskiego na Mistrzostwach Europy w Warszawie w 1953 roku. Słuchałem przez radio na słuchawki. Pięć razy stawałem więc w koszuli nocnej, salutowałem do pustej głowy i tak sobie wtedy myślałem, że ja też zafunduję kiedyś rodakom coś takiego.

A kiedy pojawiło się pragnienie, żeby zostać aktorem? Czy to były wczesne inspiracje kinem, pierwszymi filmami, aktorem?

Na początku to raczej matka, która zdała do Szkoły Teatralnej równolegle z Dziennikarstwem i przestraszyła się atmosfery rywalizacji wśród aktorów. Wybrała dziennikarstwo, ale bakcył teatru w niej pozostał. Będąc polonistką i romanistką w Liceum w Drohiczyźnie prowadziła teatr szkolny, który wygrywał festiwale teatrów amatorskich w całej Polsce. Pamiętam, że chciałem wtedy wystąpić w „Niemcach” i zagrać. Kogo? Oczywiście główną rolę, profesora Sonnebrucha.

Twoja kariera aktorska przebiegała tak, że czasami nawet nie zdążyłeś zamarzyć, a już miałeś rolę: Rafał Olbromski, Kmicic, Azja Tuchajbejowicz, Hamlet. Propozycje wyprzedzały marzenia młodego aktora. Tak jest do dziś?

Trochę tak. Chociaż zawsze marzyłem, żeby zagrać w westernie amerykańskim...

W końcu mam jedno Twoje niespełnione marzenie! Pragmatyczny marzyciel nadal marzy o tym, żeby zagrać w westernie?

Oby to było przed tym czasem jak będę mógł zagrać tylko szeryfa na wózku inwalidzkim, bo już na konia nie dam rady wsiąść.

Znając twoje szczęście jeszcze zagrasz w westernie. Winnetou byś chętnie zagrał?

Tak naprawdę od początku moim idolem historycznym był Zawisza Czarny. A Winnetou to jest czerwonoskóry Zawisza Czarny. Ktoś nie do pokonania, niezłomny i sprawiedliwy. Winnetou nie zabijał, jeśli to nie było konieczne.

Chciałbyś wyglądać jak Winnetou? Marzyłeś kiedyś o tym żeby być wysokim, czarnookim, brunetem o lśniących prostych włosach?

Aktor musi kochać siebie, bo inaczej się nie zaakceptuje i nie będzie wychodził na scenę. Ale u mnie to jest miłość bez wzajemności czyli raczej nieszczęśliwa. Na szczęście lepiej wychodzę na zdjęciach.

W oczach kobiet też nieźle wychodziłeś. Miałeś powodzenie.

Na pewno już trochę inne względy o tym decydowały, na przykład popularność, która bardzo pomaga.

Czy miałeś kiedyś szalone marzenia? Na przykład: chciałbym mieć wyspę albo chciałbym być królem.

Nie.

Nic?

Dobrego konia, niezły samochód, to już prędej.

Rozmawiała Alicja Resich-Modlińska



12

JANUSZ MAJEWSKI

FOT. BERNARD KWAPIŃSKI

Muzyk Jazzowy, 2014/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 98 x 68 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + IAP'

„(...) zaczęła być nadawana audycja amerykańska Willisa Conovera – Time for jazz i ja co noc, z uchem przy radiu, żeby nie budzić domowników, gdzieś w tych falach wyszukiwałem tego Conovera i słuchałem, słuchałem. Po prostu, zatrułem się, w pewnym sensie, jazzem”.

JANUSZ MAJEWSKI



Ma Pan postawę człowieka, który żyje po to, żeby było mu przyjemnie. Jest zakochany w jazzie i ten jazz towarzyszy panu od początku, od Krakowa, a właściwie i od Lwowa.

Tak. Jazz był ze mną zawsze. Kiedy znalazłem się w Nowym Jorku – rok 77, wszedłem przypadkiem do klubu – piwnicy, zwabiony dźwiękami świetnie granego jazzu. Zobaczyłem pięciu dziadków, którzy fantastycznie grali. Wszyscy byli czarni i wszyscy siwi. Mnie złapało za gardło, bo poczułem, że wróciłem do siebie, że ta muzyka, to moja ojczyzna.

To elegancki ojciec Wojciecha Karolaka tak Pana zaczarował, że zaintrygowała Pana muzyka?

Zacząło się to kiedy jeszcze trwała wojna. To był chyba luty, kiedy przeniesiliśmy się z Lwowa i zamieszkaliśmy na jednym podwórku z Karolakami. Wojna trwała do maja' 45. Ja zacząłem chodzić do gimnazjum im. Sobieskiego. Miałem wówczas lat 14, a Wojtek miał 6 lat, więc jeszcze nie było między nami kontaktów. Ale mieszkaliśmy obok siebie dosyć długo, dosłownie w sąsiednich domach. Te domy były zbudowane przez Niemców dla Niemców, którzy tam wtedy w Krakowie urzędowali. Wszystkie domy były ustawione w taki sposób, że tworzyły 3-4 podwórza obok siebie, otwarte od ulicy. Były piękne skwery, klomby, utrzymane po niemiecku, bardzo porządnie. Wszystkie mieszkania były umeblowane meblami, które przypominały dzisiejszą IKEĘ. Musieliśmy wyjechać ze Lwowa tylko z czterema małymi walizkami, więc takie mieszkanie nas bardzo urzędzalo. Wychowywaliśmy się z grupą przyjaciół w podobnym duchu, w podobnej scenografii.

Ale kiedy rodzi się w Panu jazzmen, meloman?

Mógł to być rok '46. Wtedy jeszcze stalinizm się tak nie rozpanoszył i zaczęli grać w kinach amerykańskie, angielskie i francuskie filmy. A przecież taki 15 latek, pierwsze, co robi, to leci do kina. Pokazywali „Serenadę w Dolinie Słońca” z orkiestrą Glenna Millera. I to właśnie wtedy, ja i moi przyjaciele dostajemy świra na punkcie muzyki. Ja byłem na tym filmie tylko 11 razy,

ale byli i tacy, co byli z 18 razy. Wszystko, po to, żeby posłuchać muzyki, bo fabułka była głupia. A potem zaczyna w Krakowie działać YMCA. Do YMKI przyjeżdża z Warszawy na prelekcje Tyrmand, puszcza nam amerykańskie płyty. Ja, w miarę lat, zaczynam poznawać ludzi, między innymi Basię Hoff. Ona szybko się wpisała w Przekrój. Dzięki niej poznałem redaktora Mariana Eilego, który też był wielkim fanem jazzu i przywoził zza granicy, bo wtedy jeszcze go jakoś wypuszczali, różne płyty. Urządzał w domu przesłuchania. Teraz sobie uprzątniam, że dźwięk z tych jakichś gramofonów był dość marny. A jednocześnie zaczęła być nadawana audycja amerykańska Willisa Conovera – Time for jazz i ja co noc, z uchem przy radiu, żeby nie budzić domowników, gdzieś w tych falach wyszukiwałem tego Conovera i słuchałem, słuchałem. Po prostu, zatrąłem się, w pewnym sensie, jazzem.

A pierwszy instrument na jakim Pan gra?

Pianino - jeszcze we Lwowie. Potem było pianino było w niemieckim mieszkaniu. Ale ja nigdy nie uczyłem się grać. Były takie zamiary moich rodziców, ale wszystko to przerwała wojna.

To na czym Pan umie grać, tak koniec końców?

Próbowałem grać na trąbce. Kiedy robiłem film w Czechosłowacji, zostało mi pełno koron, z którymi nie wiedziałem, co mam zrobić, więc kupiłem sobie trąbkę. Tomasz Stańko, gdy mu ją pokazałem, to był zdziwiony, że taką dobrą udało mi się zdobyć. To była jazzowa trąbka tłokowa. Więc myślałem sobie, że jak będę miał trochę czasu, to zacznę się na niej uczyć grać. Najpierw, jeszcze na Żoliborzu, gdzie mieszkalem, spróbowałem, ale już widziałem zaniepokojenie sąsiadów, więc sobie dałem spokój. A potem wyprowadziliśmy się na Mazury, więc myślę: no, to tu rozwinę talent! Jak się zacząłem tam uczyć na tej trąbce, to wszystkie psy w okolicy zaczęły tak wyć i czekać, że nie mogłem tego kontynuować. Więc koniec końców, nie nauczyłem grać na żadnym instrumencie. Generalnie bardzo lubię dźwięk saksofonu i trąbki.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



13

TOMASZ STAŃKO

FOT. PAWEŁ FABJAŃSKI

Moim marzeniem jest moja muzyka, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g., 75,5 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1 AP"

„Jako nastolatek miałem jedno marzenie— zagrać z Komedą. I ono się spełniło. A potem grałem z najlepszymi i wszystko przychodziło do mnie w sposób naturalny. Nie wyrobiłem w sobie mechanizmu marzenia— bo mi się wszystkie marzenia spełniały. Bo dla mnie, proszę pani, marzyć— to żyć”.

TOMASZ STAŃKO



Jak to u Pana jest z marzeniami?

Łatwo jest mówić o marzeniach. Można o nich mówić poważnie, można onirycznie. Mogą to być sennie marzenia, albo takie przez które spalamy się przez całe życie, dopóki ich nie osiągniemy. A ja przyłapałem się na tym, że... nie mam marzeń!

Nie wierzę Panu. Nie można żyć bez marzeń.

Można. Jako nastolatek miałem jedno marzenie— zagrać z Komedą. I ono się spełniło. A potem grałem z najlepszymi i wszystko przychodziło do mnie w sposób naturalny. Nie wyrobiłem w sobie mechanizmu marzenia— bo mi się wszystkie marzenia spełniały. Bo dla mnie, proszę pani, marzyć— to żyć.

A żyć— to marzyć?

Dokładnie. Ja się spełniam żyjąc. Po prostu. Nie mam odruchu marzenia. On nie jest mi potrzebny (śmiejch).

Jednak jakoś Panu nie wierzę...

Sam się sobie dziwię (śmiejch).

A może Pan jest po prostu przesądny i nie chce tych marzeń wypowiadać na głos?

Może. Może ma pani rację? Może nie chcę mówić, bo moich marzeń nie da się zwerbalizować, bo w czasie werbalizacji tracą całkowicie swoje znaczenia. Tak jak sny... Wolę myśleć marzeniami. Wolę myśleć, że moje życie to moje marzenie.

Dziwny z Pana człowiek...

Zapomina pani o jednej ważnej rzeczy. Ja jestem muzykiem. I do tego jazzmanem. Muzyką jest abstrakcyjną formą sztuki, nie potrzebuje słów. Ja żyję i tworzę w abstrakcji. To, co robię jest bardzo ulotne i nienazwane. Muzyka jest rodzajem marzenia.

No tak, wy jazzmani macie szczególny sposób porozumiewania się. Nie macie partytury, głównie improwizujecie...

Jak w życiu (śmiejch)... Nie potrzebuję zapisu nutowego, nie potrzebuję słów. Słowa mi przeszkadzają, upraszają, ukonkretniają. Nie lubię ich w nadmiarze. Dlatego moje marzenia nie mają formy słownej. Nie da się ich wypowiedzieć.

Ale można je zagrać?

Aaa, to tak! Oczywiście! Jazz to muzyka niezapisywana. Najlepsze bandy to takie, gdzie się nic nie mówi. Komeda nic nie mówił. Siedział taki skulony i się uśmiechał przy tym swoim fortepianie. Mieliśmy te trzy nuty na krzyż i wiedzieliśmy, co grać. Teraz jak gram z różnymi muzykami, to mówimy slangowymi, „czarnymi” określeniami. Moim zdaniem przechodzimy teraz rewolucję w komunikowaniu się. Nadchodzi nowy sposób komunikacji, gdzie słowa są tylko jedną z form. Zostaną one wyparte innymi formami. Zresztą— pewne rzeczy można werbalizować, pewnych wręcz nie należy.

Większość ludzi marzy o sukcesie. Gdyby był Pan muzykiem, ale bez światowego sukcesu, byłby Pan szczęśliwy?

Ja wcale nie dążę do tego, żeby być szczęśliwym. Mnie irytuje, jak wszyscy

chcą być szczęśliwi. Tylko warzywa są szczęśliwe— jak powiedział Faulkner (śmiejch).

A jednak jest Pana osobą, którą niesie radość życia.

Żyję tak jak gram— bez niepotrzebnego napięcia.

Czy u Pana zawsze było miło i cacy i tylko tanecznym krokiem szedł Pan przez życie? Czy może był Pan bezwzględny, żeby osiągnąć to, co Pan sobie zamierzył?

A i tu dobre słówko— „zamierzył”— nie: „zamarzył” (śmiejch). Żyjąc muszę być wszystkim. Biorę udział w walce gatunków, więc czasami jestem bezwzględny. A czasami łagodny, delikatny... Przy rozmowie o interesach przy angażowaniu muzyków, przy pewnych decyzjach strategicznych, które podejmuję w swojej muzyce bywam okrutny. Nie mogę być tylko dobry, muszę być sprawiedliwy. Budzi się we mnie potwór, gdy słyszę ludzi, którzy mi źle grają! Był jeden taki basista, który zawsze na koncertach zwalniał rytm. Przez cały koncert myślałem tylko o tym, żeby się odwinąć... Oczywiście to był świetny muzyk i bardzo go lubiłem. Kiedyś wylądowaliśmy w barze. Wziąłem szklankę z wodą i... w niego cisnąłem. Zdażył tylko krzyknąć: Za co!? Za to!!!!— wrzasnąłem. Dobrze wiedział w czym rzecz (śmiejch).

A kiedy patrzy Pan na swoje życie wstecznie przeszywa Pana żal, że czegoś Pan chciał i Pan tego nie ma?

Jak mnie ściska skurcz zazdrości, od razu to eliminuję. Nie chcę tego mieć. Ja nie czerpię napędu z zazdrości czy zawiści. Nie chcę walczyć o nic.

Nikt panu nie powiedział: jest Pan moim marzeniem?

Może dla kobiet byłem kimś takim....

Czuje się Pan spełniony?

Niedawno spacerowałem po Nowym Jorku i myślałem sobie: „Boże, jestem tu, to moje miejsce”. W czasie tego spaceru wspomniałem tego chłopaka z Krakowa, którym byłem kilkadziesiąt lat temu. Wspominałem koszmarną kolejkę po chleb. Kolejka była długa i ponura, więc fantazjowałem, że minie mnie Sonny Rollins, a ja mu pomacham i powiem „cześć”... Teraz mieszkam w Nowym Jorku, blisko mieszkania Sonny Rollinsa. Pozdrawiamy się często. (śmiejch). I co? Można powiedzieć, że spełniło się marzenie. Ale przecież to nie o to chodzi.

To się właśnie nazywa mieć spełnione marzenie!

Nieeee. To się nazywa mieć farta (śmiejch). Najważniejszą rzeczą, jaką w życiu mamy, jaka nas w życiu dotyka— to jest to, że żyjemy. Wcale nie, czy się rozwijamy, czy mamy sukces. Nieważne czy jesteśmy portierem, czy geniuszem — ważne, że żyjemy. Bo cud życia jest niezwykły. Nie ma nic ważniejszego, niż to, żeby żyć. Wtedy całe życie jest jednym wielkim spełnionym marzeniem.

PS. Ania Stańko — córka Tomasza przysłuchująca się rozmowie: Ach ten tata... Przecież ja wiem, że on nic tylko marzy....

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



14

KS.ADAM BONIECKI

FOT.JACEK POREMBA

Elegancka drewniana laska, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g, 83 x 78 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + 1AP'

„Najdawniejsze pragnienie posiadania czegoś materialnego, które zapamiętałem, to było pragnienie posiadania. . . laski. Nie, nie miałem kłopotów z chodzeniem. Wtedy była moda chodzenia z laską. Szanujący się, wytworny dorosły chodził z laską. Podejrzewam, że po prostu chciałem być dorosły a ponieważ tego przyspieszyć się nie da, marzyłem, żeby przynajmniej wyglądać jak dorosły”.

KS.ADAM BONIECKI



MOJE NIESPEŁNIONE MARZENIE

Sięgam najdalej, jak potrafię w przeszłość, w pierwsze lata czterdzieste zeszłego stulecia. Jakie miałem marzenia w dzieciństwie? Najdawniejsze pragnienie posiadania czegoś materialnego, które zapamiętałem, to było pragnienie posiadania... laski. Nie, nie miałem kłopotów z chodzeniem. Wtedy była moda chodzenia z laską. Szanujący się, wytworny dorosły chodził z laską. Podejrzewam, że po prostu chciałem być dorosły a ponieważ tego przyspieszyć się nie da, marzyłem, żeby przynajmniej wyglądać jak dorosły. Któraś z ciotek nawet obiecała mi przywieźć wymarzoną laskę z Warszawy. Nic z tego. Ku mojemu rozczarowaniu przywiozła mi jakąś idiotyczną (bo dziecinną) zabawkę. Laki nie. Chyba nawet powiedziała mi, że z laską bym wyglądał jak stary–malerki. To marzenie kilkadziesiąt lat później się spełniło i to kilkakrotnie. Z laską prę lat temu kuszykałem przed i po operacji nogi. Teraz znów chodzę z laską, bo jak to starym ludziom zdarza, miewam zawroty głowy. Wsparty na lasce czuje się pewniej, więc chodzę z laską. Żadna przyjemność.

Nie pamiętam, bym w dzieciństwie miał inne, równie silnie i niespełnione marzenia w zakresie posiadania. Te, które miewałem były skromne i prędzej, czy później się spełniały.

Prawdziwe marzenia jednak dotyczą „być” a nie „mieć”. I tu mam serię marzeń spełnionych. Chciałem być dorosły i spełnienie przyszło, jak łatwo się można domyślić, samo. Przy okazji zauważyłem, że marzenie o czymś może być większą przyjemnością, niż spełnienie. Wolę, oczywiście, być dorosłym, niż dzieckiem. Ale wiercie mi być dorosłym, i co za tym idzie wkrótce być starym, to średnia przyjemność. Marzyłem, żeby być księdzem i jestem nim już pond pół wieku. Marzyłem, żeby być pisarzem. Nawet próbowałem i w wieku lat dziewięciu nagryzmoiliłem powieść, napisaną,

jak Pan Tadeusz, wierszem. Objętość – jeden szkolny zeszyt. Na szczęście rękopis się nie zachował. Cóż, pisarzem nie jestem, ale wciąż piszę, to mój zawód. Napisałem 16 książek, mnóstwo artykułów, czyli marzenie zostało – częściowo – spełnione. Marzyłem, by poznać świat i choć nie mam w sobie pasji podróżniczej, odwiedziłem blisko czterdzieści krajów, w dwóch mieszkalem dość długo, we Francji trochę chodziłem do szkoły (wyższej). Było w moim życiu jeszcze sporo spełnionych marzeń mniejszego kalibru. Spytaście, dlaczego pan pisze o marzeniach spełnionych? Miało przecież być o niespełnionych. Piszę o nich, aby powiedzieć, że marzenia są jak towary w sklepie na wystawie. Patrzysz i bardzo pragniesz coś z tej wystawy mieć. Wchodzisz, kupujesz i nagle rzecz nabyta traci czar, który miała, kiedy leżała na wystawie a ty się pukasz w głowę i pytasz, po jakie właściwie lichy to kupilem?

Teraz mogę napisać o moim wielkim, niespełnionym marzeniu. Kiedy się zdecydowałem, że będę księdzem, marzyłem, że będę księdzem mądrym, dobrym i świętym. Znałem kilku takich i chciałem – oczywiście po swojemu – być jak oni. Nawet się starałem, a przynajmniej myślałem, że się staram. Teraz, na stare lata widzę, że to marzenie, niestety, się nie spełniło. Życie zbliża się do końca a ja wciąż nie jestem ani mądry, ani dobry, ani święty. Raczej wprost przeciwnie. I nikogo nie mogę za to winić. Cóż dodać? Nadal o tym marzę i mimo niespełnienia nie jestem rozczarowanym frustratem, bo pamiętam, że bardziej frustruje spełnienie mało wartych marzeń, niż dobre marzenie, które – kto wie – jeszcze może się spełnić.

wtorek, 16 lutego 2016
ks. Adam Boniecki
emeryt



15

JERZY PILCH

FOT. JACEK POREMBA

Przetłumaczyć Tolstoja (zagrać z nim w szachy), 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 76,5 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1 AP"

„Moje nie ma na imię Monika, ani nie ma na imię Sharon, ani Cindy. Ale może mieć na imię – Lew. Nie marzę zatem o Sharon Stone, tylko o Lwie Nikołajewiczu Tołstoju (...) Punktem wyjścia dla tego opowiadania jest zdjęcie, na które natrafiłem 10 lat temu w jakiejś gazecie przedstawiające całą rodzinę Tołstojów zgromadzonych wokół szachownicy”.

JERZY PILCH



Moje nie ma na imię Monika, ani nie ma na imię Sharon, ani Cindy. Ale może mieć na imię – Lew. Nie marzę zatem o Sharon Stone, tylko o Lewie Nikołajewiczu Tolstoju.

Co to znaczy marzyć o Tolstoju?

Ha! Zanim to ujawnię, może powiem, jak rozumiem Tolstoją. Wielbię jego krótkie formy. Jego „long short story”, zwaną „mikropowieścią”. 100 stron ma „Śmierć Iwana Ilicza” – najważniejszy dla mnie tekst Tolstoją. Tak się składa, że tę opowieść, która jest tekstem trudnym i niekoniecznie do czytania przez nastolatka, towarzyszy mi przez całe życie. Właśnie od wczesnej młodości. Kupiłem „Śmierć Iwana Ilicza” w Wiśle, w kiosku w centrum miasteczka gdzieś w końcu lat 60- tych. Istniała kiedyś seria „Koliber”: małe, białe-czarne książeczki w miękkich okładkach – w sam raz do sprzedawania w kioskach. Totalitarny kontekst mało znaczył i wydawano w tej serii doskonałe rzeczy, w tym Tolstoją w tłumaczeniu Jarosława Iwaszkiewicza. Wielbię Tolstoją i uważam, że jego geniusz w „Annie Kareninie” jest nie do pobicia. Wielbię go jednak z pewną obawą. **Cóż to za obawa?** Ten geniusz, moim zdaniem, w ogóle nie miał poczucia humoru. Tolstoj był ponurym bucem. Po prostu. Wszystko u niego jest doskonale napisane, ale bardzo mało jest fragmentów, w których pisałby z dystansem, olewał albo ośmieszał. U niego wszystko jest śmiertelnie poważne.

A może to tak w tłumaczeniu wygląda?

Nie. Tak się złożyło, że jedynym językiem, którym władam dość dobrze, jest właśnie rosyjski. Pokolenie moich rodziców mówiło po niemiecku, dziadkowie też, bo pamiętali zabór austriacki w Wiśle. A ja z tym moim rosyjskim, który był z kolei językiem mojego najeźdźcy – próbowałem czasami czytać coś po rosyjsku. Najlepiej mi się czytało proste opowiadanie Czechowa. Tolstoj był trudny, ale... to może wreszcie powiem, bo to chyba już jasne się stało. Moim niezrealizowanym marzeniem, ale też takim, którego pewnie nie zrealizuję, bo już nie podciągnę rosyjskiego do tak wysokiego poziomu - byłoby przetłumaczenie i wydanie z własnym komentarzem „Śmierci Iwana Ilicza”. Obawiam się jednak, że tego już nie

zrobię, co przyjmuję z pewną melancholią.

O Tolstoju i o szachach oraz o sobie napisał pan opowiadanie „Sobowtór zięcia Tolstoją”.

Punktem wyjścia dla tego opowiadania jest zdjęcie, na które natrafiłem 10 lat temu w jakiej gazecie przedstawiająca całą rodzinę Tolstojów zgromadzonych wokół szachownicy.

A to zdjęcie i gra w szachy sprawia, że kreśli Pan w tym opowiadaniu genialny portret swojej rodziny. A w szczególności ojca....

Tak. To Tolstoj można powiedzieć mi się przydał bardzo.

I tak towarzyszy Panu ten Tolstoj całe życie, choć jak pisze Pan „nigdy nie miałem jakiegoś tolstojowskiej fazy”, jakiegoś tolstojowskiego nawiedzenia, czy opętania. (...) takie pierdoły mnie nie dotyczą”.

To był wielki realista. Ale trudny. Pod koniec życia pomieszało mu się sporo. On miał problem, jak pogodzić własne, grzeszne życie z Panem Bogiem. Jak, np. nie uprawiać seksu w nadmiarze. A przecież jest taka dość prosta recepta, która jednakże była poza jego zasięgiem.

Jaką receptę by mu Pan dał, gdyby go Pan spotkał?

Nie chciałbym go spotkać.

Ale Pan go przecież uwielbia!

Całe życie lansowałem tezę, że tekst mówi wszystko o pisarzu i że nie należy chcieć poznawać osobiście autora, bo tekst jest zawsze wyżej niż on. Proszę sobie to wyobrazić: będąc młodzieńką osobą – czyta pani poetę, zakochuje się pani się w tym poecie, pisze do niego listy. Na koniec on proponuje spotkanie. Idzie pani na nie, a tu lekko grubawy, łysiejący 40-latek próbuje wsadzić łapę pod spódnicę... Więc nie należy dążyć do poznania autora. A wtedy, kiedy już, chwala Bogu, nie żyje od lat, to lepiej nie wyobrażać sobie tego spotkania. Tolstoją podziwiam sposób, jakbym podziwiał nieznaną planetę, jakieś tajemnicze zjawisko przyrodnicze. On jest wielką górą, ale mnie absolutnie nie interesuje, co jest za nią. Przyjrzyć się i uciekam do siebie.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



16

JANUSZ GŁOWACKI

FOT. DOROTA BUCZKOWSKA

Ożenić się z mamusią, 2016/2017 r. (collage)

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 68 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1 AP"

„Czasem straszyla mnie, że jak dorosnę, to ją opuszczę. Przysięgałem, że nigdy się z nikim nie ożenię,
a jeżeli – to tylko z nią. Chyba lubiła to słyszeć”.

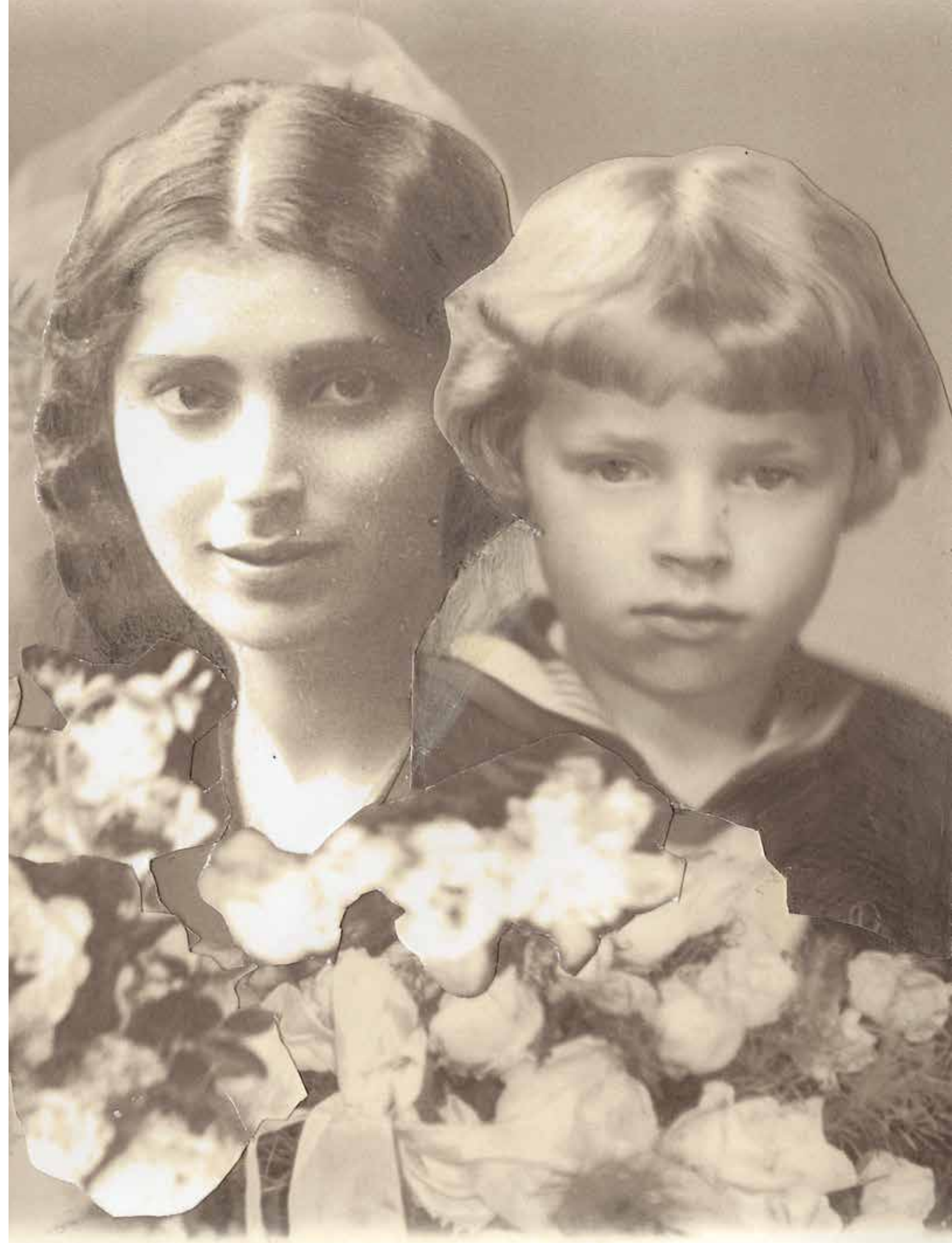
JANUSZ GŁOWACKI



Przecież wiadomo, że dla sześciolatniego chłopca Matka to Wszechświat.
Moja miała wpływ na przyrodę – rozpędzała chmury jak chciała.
Pewnie byłem chłopcem tchórzliwym, bo prosiłem żeby zamieniła mnie
w lwa. Powiedziała że żaden problem, tylko nie jest pewna czy potrafi

mnie potem odczarować. Wahałem się. Czasem straszyla mnie, że jak
dorosnę, to ją opuszczę. Przysięgałem, że nigdy się z nikim nie ożenię,
a jeżeli – to tylko z nią. Chyba lubiła to słyszeć. Oczywiście że było w tym
coś freudowskiego...

Janusz Głowacki



17

BORYS KUDLIČKA

FOT. BERNARD KWAPIŃSKI

Mechanik, 2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 73 × 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + 1A'

„Mechanik jest w pewnym sensie jak lekarz: stawia diagnozę i przywraca organizmu do prawidłowego funkcjonowania. Stawia pacjenta na cztery koła – śmieje się i dodaje, że to praca bardzo trudna. – Ciężka fizycznie, ale też wiążąca się z dużą odpowiedzialnością, bo tu chodzi o bezpieczeństwo drugiego człowieka – mówi”.

BORYS KUDLICKA



STAWIAĆ PACJENTA NA CZTERY KOŁA

Na początku był trabant. Ten latający – element scenografii, zauważony podczas jednego z koncertów U2, i ten własny – samodzielnie wyremontowany. Boris Kudlička, wielokrotnie nagradzany scenograf, który marzy o byciu mechanikiem samochodowym, trabanta kupił na pierwszym roku studiów. – Wersja de luxe – mówi z dumą. – Od podstawowej różnił się światłem przeciwmgielnym z tyłu i kratką rozmrażającą na tylnej szybie. Pomalowaliśmy go z kolegą na podwórku na kolor butelki piwa, takiej brązowej. Do tego złote felgi, złote wycieraczki, aluminiowe listwy posprejowane na złoto – wspomina. W dzieciństwie marzył o byciu architektem, ale w czasach wszechobecnej bylejakości nie wydawało się to sensownym pomysłem. Wybrał scenografię: projektowanie przestrzeni, ale ograniczone jedynie własną wyobraźnią. I umiejętnościami: – W szkole na każdym roku musieliśmy zrealizować jakąś scenografię. Budżet był minimalny, ale pozwalał na kupienie kilku desek, profili stalowych, jakichś prętów. Żeby coś z tego zbudować, trzeba się było nauczyć spawać, obrabiać stal, pracować z drewnem – opowiada. Marzenie o architekturze udało się jednak po latach zrealizować: dziś jako współwłaściciel studia WWAA projektuje przestrzeń już nie tylko w teatrze. – Swoje marzenia spełniam. Nie czekam, aż same się ziszczą – podkreśla. Zapytany, jak mu się to udaje, opowiada o swoich początkach w warszawskim Teatrze Wielkim. – „Nie da się”, ile razy ja to słyszałem! 20 lat temu taka odpowiedź była typowa, ludzie się w ten sposób bronili przed wysiłkiem wyjścia poza schemat. „Nie da się” to nie zawsze zła wola, to często strach. Szybko się nauczyłem, że czasem trzeba 10 razy wysłuchać, że się nie da, a potem narysować, jak zrobić, żeby się dało. I w końcu się udaje. Przyznaje, że marzenie o byciu mechanikiem to typowa tęsknota do pracy własnych rąk. Nie chce go realizować, bo jego sens przestałby istnieć. – Pracuję intelektualnie. Czy to w operze, gdzie literaturę klasyczną trzeba przerzucić na drugą stronę i odnaleźć w niej lustro dla współczesnego człowieka, czy to

w przestrzeni: muzeach, wnętrzach, budynkach, które też są konceptualnym wyzwaniem. Mózg potrzebuje zmiany, różnych sposobów myślenia, trybów działania, a moja praca to niekończący się proces: jeden pomysł przechodzi w drugi. Work in progress. Bez przerwy. Ale przerwa jest potrzebna. Marzenie to właśnie coś takiego, co pozwala mi na chwilę wyjść z tego procesu i dać odpocząć głowie. Żeby móc wrócić. – Mechanik jest w pewnym sensie jak lekarz: stawia diagnozę i przywraca organizmu do prawidłowego funkcjonowania. Stawia pacjenta na cztery koła – śmieje się i dodaje, że to praca bardzo trudna. – Ciężka fizycznie, ale też wiążąca się z dużą odpowiedzialnością, bo tu chodzi o bezpieczeństwo drugiego człowieka – mówi. Samochody wykorzystywał nieraz w pracy teatralnej: w „Sinobrodym” przeciął na pół starego mercedesa, a w „Powder Her Face” wprowadził na scenę czerwonego triumpha w wersji cabrio. Wymontował mu silnik i zainstalował baterie, żeby mógł po tej scenie przejechać. – W teatrze relacja z odbiorcą jest intensywna, feedback jest wyraźny i natychmiastowy. To jest ciekawe doświadczenie, którego w wielu zawodach nie ma – mówi i po chwili opowiada o wideoinstalacji, którą widział podczas zeszłorocznego Biennale Architektury w Wenecji. Składały się na nią głosy pracujących budowlanców i obraz z kamer na ich kaskach. – Widzimy to, co oni widzą, słyszymy, co słyszą i mówią. A opowiadają m.in. o swoim stosunku do własnej pracy. Jeden z nich siedzi gdzieś na wysokościach, patrzy wokół i mówi: „Zmieniam krajobraz, buduję przestrzeń dla ludzi, pomagam im spełnić marzenia. Jestem częścią procesu twórczego”. A potem, już na dole, widzimy mijającą go starszą panią z dzieckiem, która mówi do wnuczka: „Zobacz, jak się nie będziesz uczył, to tak skończysz”. Zawody fizyczne postrzegamy wciąż bardzo stereotypowo. W każdej pracy można się realizować, specjalizować, znać się na niej, być w niej dobrym. A to daje satysfakcję.

Olga Wiechnik



18

URSZULA DUDZIAK

FOT. PAWEŁ FABJAŃSKI

Zobaczyć krainę dzieciństwa za górą, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 68 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + 1AP'

„Dla mnie to była czarodziejska, niezwykła góra, która chowała w sobie wielką tajemnicę, a ja starałam się ją odgadnąć. Wyobrażałam sobie, że za tą górą jest zupełnie inny świat. Całe dzieciństwo planowałam wspiąć się na tę górę zobaczyć co jest po tamtej stronie i odkryć tę tajemnicę”.

URSZULA DUDZIAK



Chcę opisać marzenie, które się nie spełniło i w dalszym ciągu pozostaje marzeniem.

Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Miejsce mojego urodzenia to mała wioska na południu Polski u podnóża Beskidzkich gór. Mieszkaliśmy z rodzicami w dwupiętrowym domu na pierwszym piętrze. Jako kilkuletnie dziecko uwielbiałam wspinać się na owocowe drzewa. Szczególnie lubiłam te czereśniowe— obsypane dorodnymi słodziutkimi, ciemnoczerwonymi owocami. Do dziś, gdy widzę czereśnie to przenoszę się wyobraźnią do mojej wsi Straconki. Widzę siebie wdrapującą się na drzewo i paluszującą soczyste, przepyszne czereśnie. W ogrodzie koło naszego domu rosły też orzechy, wiśnie, śliwki, jabłka, porzeczki, agrest, truskawki— po prostu wszystko, czego dusza zapagnie! Uwielbiałam biegać na bosaka po rosie. Pamiętam, że biegałam też po ściernisku, które mnie nie kłuło, bo moje dziecięce stopy były do tego przyzwyczajone. Niedaleko naszego domu stała stodoła pełna siana. Szaleliśmy w niej z moim bratem Leszkiem. Skakaliśmy po tym miękkim pachnącym sianie, chowaliśmy się po kątach stodoły i udawaliśmy, że to jest nasz wspaniały królewski zamek. Była też stajnia, w której mieszkaly konie, krowy i kozy, kaczk, kury i gęsi. Moja babcia i dziadek mieli wielkie gospodarstwo i duże połacie ziemi. Czułam się tam jak ryba w wodzie i kochałam zapach ziemi, szczególnie po deszczu. Rosłam razem z naszym owocowym sadem i znałam każde drzewo i krzew. Czekałam niecierpliwie na niedzielę, bo mama mnie wtedy pięknie ubierała (a ja uwielbiałam się stroić) i wtedy z całą rodziną: z bratem, tatą i mamą chodziliśmy do kościoła na drugim końcu wioski. Była to dosyć daleka droga zajmująca nam blisko godzinę, ale ja bardzo lubiłam to niedzielne dumne paradowanie w nowej sukience i trzewikach. Wszyscy mnie chwalili bo wyglądałam pięknie. Może dlatego do dziś lubię długie spacerować? Miałam kręcone blond włosy, a na środku głowy tzw. "rolkę" czyli lok wyglądający jak rurka z kremem. Ta rolka była przedzielona dużą białą kokardą. Tak się wtedy czesało małe dzieci. W drodze powrotnej mama

kupowała bratu i mnie watę cukrową. Dostawaliśmy też po lizaku. Z kościoła wracaliśmy wolniej i dłużej bo nasz dom stał na wzgórzu. W moim pokoju był balkon, na który wychodziłam co rano, bo rozpościerał się stamtąd przepiękny widok. Najpierw ukazywał się niekończący się sad w całej swojej okazałości. W dali widziałam łańcuch gór. Z prawej strony, daleko, daleko stała dumnie wielka góra Klimczok, na wprost stała samotnie góra o nazwie Łysa. To była moja ukochana góra. Bałam się, że może kiedyś jak się obudzę i wyjdę na balkon to mojej góry nie będzie. Dla mnie to była czarodziejska, niezwykła góra, która chowała w sobie wielką tajemnicę, a ja starałam się ją odgadnąć. Wyobrażałam sobie, że za tą górą jest zupełnie inny świat. Całe dzieciństwo planowałam wspiąć się na tę górę zobaczyć co jest po tamtej stronie i odkryć tę tajemnicę. Wierzyłam głęboko, że za nią był świat, pełen czarów, nieznanych i dziwacznych zwierząt, kwiatów o fantastycznych kształtach i wspaniałych zamków. W każdym zamku mieszkała oczywiście dobra i pięknie ubrana królowna. To była zaczarowana kraina dzieci, zabawy i słodyczy.

Oczywiście na pewno było tam wiele innych niezwykłych rzeczy, ale żeby się tego dowiedzieć trzeba było wejść na nią i zobaczyć jak ten czarodziejski kraj wygląda. Nie wybrałam się w podróż odkrywcy, ale za to napisałam kompozycję o znamienym tytule: "Po tamtej stronie góry". Na tle mojej muzyki, recytowałam: "Kiedy byłam małą dziewczynką z okna mojego pokoju widziałam wielką górę. Codziennie rano podbiegałam do okna, sprawdzić czy moja góra jeszcze stoi. Zawsze stała na swoim miejscu. Zastanawiałam się, co jest po tamtej stronie góry. Miałam ochotę wdrapać się na szczyt i sprawdzić. I nigdy tego nie zrobiłam. Ale nigdy nie przestałam też marzyć". To była moja pieśń.

I tak oto, całe moje dorosłe życie wyobrażałam sobie krainę po tamtej stronie góry. Najpiękniejsze jest to, że mogę ją sobie wymyślać w nieskończoność...

Urszula Dudziak



19

KINGA BARANOWSKA

FOT. JAN KRIWOL

Mieć stado lemurów, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 76 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. 1/5 + IAP'

„Dla mnie to najpiękniejsze zwierzę, najbardziej gibkie. Lemur jest piękny. Nigdy nie byłam na Madagaskarze, a one są tylko w tym jednym miejscu na świecie. 20 lat temu marzyłam: 'Wow, wyjechać na ten Madagaskar, zobaczyć to przepiękne zwierzę'.

KINGA BARANOWSKA



Góry to było marzenie z dzieciństwa?

Nie. Późno się to stało. Pochodzę z Kaszub. Powinnam więc być żeglarką. Ale nie ciągnęło mnie w tym kierunku. Za to wygrywałam wszystkie konkursy z wiedzy o świecie i te geograficzne. Zaczęłam studiować geografię. I kiedyś zobaczyłam ogłoszenie, że jest nabór na kurs wspinaczkowy w Klubie Wysokogórskim w Trójmieście. Zapisalam się. I się zaczęło....

O czym jeszcze Pani marzyła w dzieciństwie?

O tym, żeby zobaczyć lemury (śmiech).

I żeby się wybrać na Madagaskar?

Wiedziałam wszystko o różnych krajach, ale w nich nie byłam.

Na Madagaskarze do tej pory nie byłam. To moje marzenie.

Lemury, zwierzęta zawsze wzbudzały mój zachwyt. Wiem o nich sporo.

W dzieciństwie chciałam mieć lemura!

Lemur jest aktywny głównie w nocy, żeby być z lemurem w kontakcie, trzeba nie spać nocą.

(śmiech) Ja też często wychodzę w góry o północy. Bezpieczniej się chodzi po górach nocą, bo wszystko jest zmrózone i nie ma lawin. Lawiny nie schodzą w nocy. Mostki lodowe też się mogą załamać, można wpaść w szczelinę w ciągu dnia.

Ale nocą nie widać piękna gór.

Jak już dotrę do obozu, to mogę sobie popatrzeć. Cały dzień mogę tylko patrzeć.

Wracając do lemurów: słyną z tego, że nie mają siekaczy, czyli są nieagresywne. Jak to jest z agresją w górach? Jak jest z Pani agresją?

Wydaje mi się, że łagodność często miesza się ludziom ze słabością.

A dla mnie łagodność to siła. Staram się być łagodna.

Nie szczerzy Pani zębów...

No nie (śmiech). Siłę też trzeba umieć odpowiednio wykorzystać.

Siłą jest chociażby nasz stosunek do słabszych.

Lemur lubi wisieć na gałęzi. Nie lubi stać na ziemi. Po prostu jest tak zbudowany, że mu niewygodnie na ziemi. Coś Pani to przypomina?

(śmiech) Tak. Alpinistów. My też musimy „gdzieś wisieć” między niebem a ziemią. To trochę tak, jakby się jednocześnie twardo stąpało po ziemi,

a głowę miało w chmurach i patrzyło w niebo.

Lemury mają dłuższe tylne nogi i świetne, chwytne paluszki.

Dlatego właśnie piosenka o lemurze jest hymnem „ściankowców” – czyli tych którzy się wspinają na sztucznych ściankach w mieście. „Wyginam śmiało ciało”. To znana wszystkim dzieciom piosenka o lemurze z filmu „Madagaskar”. Lemur-Król Julian to śpiewa.

To chyba nie przez marzenie o lemurze zaczęła się Pani wspinać?

Pochodzę z małej miejscowości, więc te książki to był cały mój świat – te wszystkie podróże Tomka Wilmowskiego, mnóstwo podróżniczych książek, wędrowanie palcem po mapie... Myślę, że to też wpłynęło na moją pasję.

Motorem było...

...to, że wiedziałam wszystko o świecie, a chciałam go zobaczyć.

Chodziło o to, żeby dotknąć lemura?

(śmiech) Tak. Poniekąd tak. Dla mnie to najpiękniejsze zwierzę, najbardziej gibkie. Lemur jest piękny. Nigdy nie byłam na Madagaskarze, a one są tylko w tym jednym miejscu na świecie. 20 lat temu marzyłam: Wow, wyjechać na ten Madagaskar, zobaczyć to przepiękne zwierzę. I proszę! Nigdy nie pojechałam na Madagaskar i lemur przyjeżdża do mnie.

Dużo Pani zrobiła w poszukiwaniu lemura...

(śmiech). Tak. Marzyłam i dokąds mnie te marzenia zaprowadziły.

Nawet zajrzałam ponad chmury...

I co tam jest?

Piękno...

Rywalizacja czasami Panią zjada?

Myślę, że nie. Bardzo lubię to, co powiedział Walter Bonatti: "Góry są środkiem, celem jest człowiek. Nie chodzi o to, żeby wejść na szczyt, robi się to aby stać się kimś lepszym". Kiedyś było to moje główne motto na prywatnej stronie internetowej.

Jeśli chodzi się tam, żeby stać się lepszym człowiekiem, to to jest religia?

Góry to religia?

To raczej spotkanie, relacja i zaufanie. Spotkanie ze sobą, z drugim człowiekiem, z Bogiem.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



20

JAŚ MELA

FOT. KUBA DĄBROWSKI

Żołnierz z Wietnamu, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemühle Photo Rag Baryta 315 g, 68 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„ (...) jako dzieciak marzyłem też o tym, żeby być żołnierzem. Nie chodziło mi o to, żeby biegać z karabinem, ale wyobrażałem sobie, że czołgam się w wśród tej niesamowitej roślinności. Ja po prostu kocham dżunglę”.

JAŚ MELA



Czy istnieje postać, która Ci imponuje? Kim zawsze chciałeś zostać kiedy byłeś mały?

Nie jest to co prawda poprawne politycznie, ale jako dzieciak marzyłem też o tym, żeby być żołnierzem. Nie chodziło mi o to, żeby biegać z karabinem, ale wyobrażałem sobie, że czołgam się w wśród tej niesamowitej roślinności. Ja po prostu kocham dżunglę. Parę razy miałem okazję spędzić tam trochę czasu. Fascynowało mnie wojenne kino hollywoodzkie, opowiadające głównie o Wietnamie. Moim ulubionym filmem jest „Czas Apokalipsy”, a książką– „Jądro ciemności”. I książkę, i ekranizację uważam za fantastyczną! Bardzo mi imponuje główna postać grana przez Martina Sheena. Cała ta historia opisuje prawdziwie naturę ludzką... W tej książce fascynuje mnie odkrywanie prawdy, tajników ludzkiej natury– dziwnej i często okrutnej. Wszystkie te filmy o Wietnamie pokazują absurd wojny, absurd zabijania, ale także zderzenie świata zachodniego z zupełnie innym sposobem myślenia. Postać Martina Sheena jest dla mnie niesamowita. „Czas Apokalipsy” trwa ponad 3 godziny, a jednak mnie wciąga ogromnie. Przyznam, że kiedy 2 lata temu miałem okazję być w Wietnamie i trochę sobie położyć po dżungli, nocować w dżungli czy płynąć rzeką Mekong, którą płynęli bohaterowie, w głąb Laosu i Kambodży, dużo myślałem o tych postaciach.

W naturze, która wydaje się taka piękna, bujna i roz hulana, rozgrywają się ciągła apokalipsa. To cię właśnie tak fascynuje?

Tak. To jest wojna. Giną ludzie. Ale wojna dzieje się też gdzie indziej: w głowach, w mózgu Marlona Brando i później zarażonego jego myśleniem Sheena. Ten film opowiada o tym, że z jednej strony jest walka z niesprawiedliwością, ale też ogromna potrzeba bycia bogiem. Tam obydwa bohaterowie wcielają się trochę w boga.

A Twoje wojny w głowie – co to są za wojny?

Czasami to wojna dobra ze złem, czasami wojna z powodu poczucia niesprawiedliwości. Zresztą powodem, dla którego sam pracuję w fundacji, którą od 7 lat prowadzę ze wspaniałymi ludźmi, jest bunt, niezgoda z systemem. Państwo pomaga w minimalny sposób. I już nie chcę się zastanawiać, czy dlatego, że nie daje rady, czy nie pomaga, bo nie chce. Dlatego wzięliśmy sprawy w swoje ręce i pomagamy w sposób sensowny osobom po amputacjach i po wypadkach. Nasza fundacja jest też rodzajem buntu przeciwko konsumpcyjnemu podejściu do życia.

Czy ty w ogóle komuś czegoś zazdrościsz?

Nie. Bo ja jestem bardzo zadowolony ze swojego życia (śmiech). Czuję się szczęściarzem. Często sam spotykam różne niepełnosprawne osoby, które są dla mnie wzorem do naśladowania. Takie rzeczy uświadamiają mi cały czas, dzień po dniu, że nie ma sensu zazdrościć, nie ma sensu ciągle porównywać się do ludzi, którzy mają lepiej. Czasem warto porównać się do kogoś, kto ma trudniej, mniej gorzej. Lubię też docenić naszą codzienność. Kiedy po wyprawach wracam do domu to wszystko mi lepiej smakuje – pierwsza noc w łóżku, pierwszy domowy obiad. Po tych czterech miesiącach w Azji, gdzie jedzenie było naprawdę pyszne, jednak tak bardzo smakował mi pierwszy po powrocie obiad w mlecznym barze – mielony z ziemniakami! Nigdy jedzenie mi tak nie smakowało, jak wtedy. Ale żeby to docenić, trzeba trochę za tym zatęsknić, trochę się oddalić. Jak to się mówi, nie ma lepszej przyprawy, niż głód. Czasem naprawdę warto coś stracić, żeby potem zauważyć, jak dużo się ma.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



21

ALEKSANDRA KURZAK

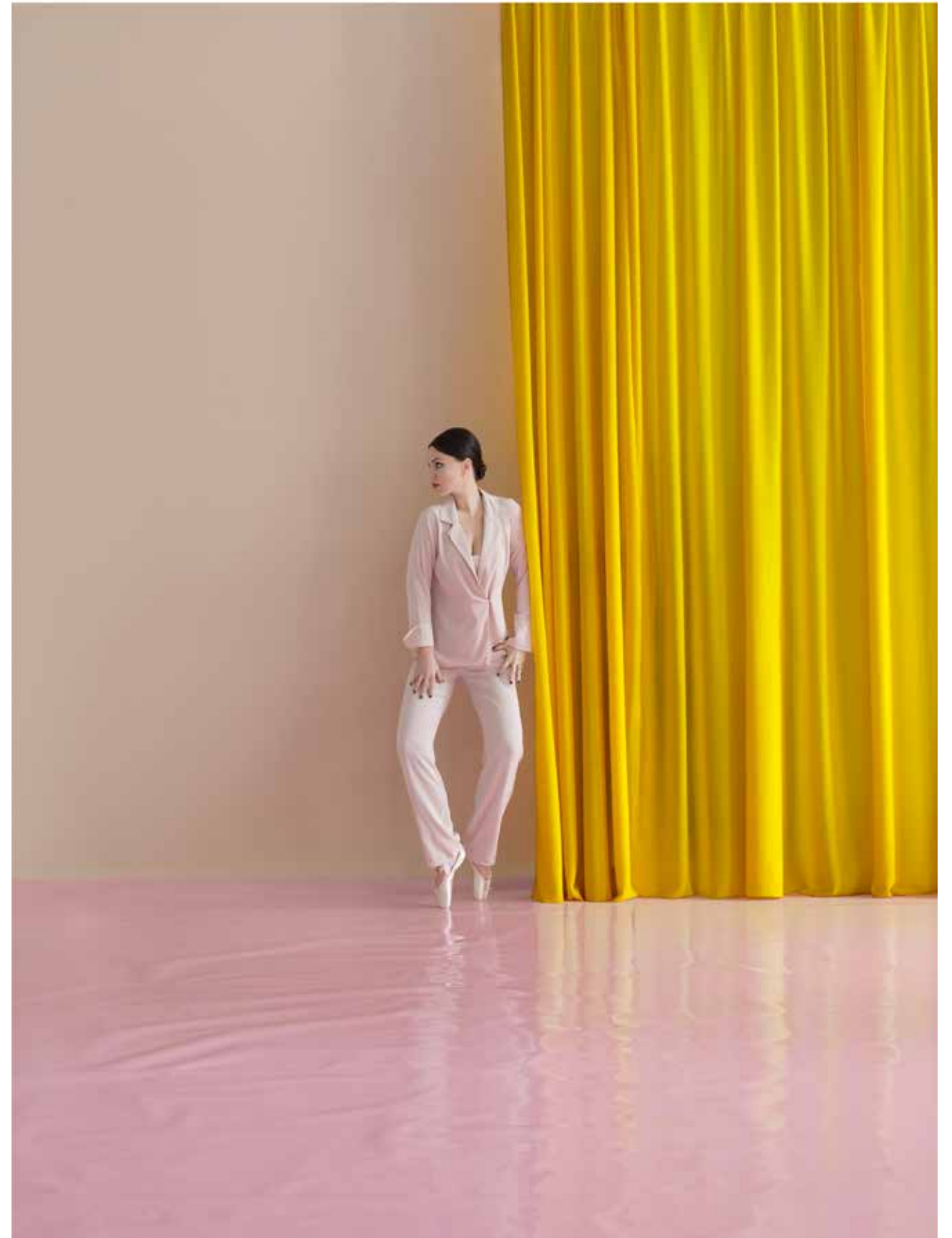
FOT. KASIA BIELSKA

Baletnica, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 75,5 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + IAP"

„Często nie wytrzymałam– wstawałam podczas występu i w łożu, między rzędami tańczyłam niektóre partie. Zdezorientowani widzowie patrzyli na to ze zdziwieniem–i śmiali się. A ja tak bardzo chciałam tańczyć...”

ALEKSANDRA KURZAK



Co to dla Pani znaczy – marzyć?

(śmiech) Zabrzmi to może dziwnie, ale moje marzenia się spełniły, więc prawdę mówiąc, nie mam o czym marzyć.

To porozmawiajmy o tych spełnionych marzeniach.

Na studiach miałam jedno wielkie marzenie – występ w Metropolitan Opera. Spełnienie przyszło szybciej, niż się spodziewałam – bo już 4 lata po zakończeniu studiów. Niesamowite, jak szybko to przyszło... Wciąż jestem zadziwiona. Mój tato po premierze zapytał ze śmiechem „I co? Gdzie teraz, gdzie będziesz śpiewać? Na księżycu?” Jeśli mój pierwszy występ gościnnie zaczął się od razu od jednej z najlepszych scen operowych na świecie– to rzeczywiście można było pytać– co w takim razie będzie dalej?

Czy to znaczy, że po takim sukcesie wszystko już mniej cieszy?

Cieszy tak samo, bo cały czas są wielkie wyzwania, cały czas są nowe role, na które się czeka. Właściwie wielka satysfakcja jest z każdego spektaklu, który układa się po naszej myśli. Nie jest łatwo za debiutować na tych scenach, ale jeszcze trudniej jest się na nich utrzymać...

Jest Pani światowej sławy śpiewaczką operową, ze spełnionymi marzeniami, ale przecież jako zupełnie mała dziewczynka musiała Pani mieć marzenia niekoniecznie związane z operą, ze śpiewaniem?

Od dziecka byłam obłędnie zakochana w balecie. Może dlatego, że kiedy byłam bardzo mała, rodzice zabierali mnie do opery na baletowe bajki dla dzieci. Pamiętam, że takim moim ukochanym przedstawieniem był „Kopciuszek” Sergiusza Prokofiewa. Tata grał w orkiestrze na waltorni i często w przerwie zabierał mnie za kulisy. Tam dopiero otwierały się dla mnie czarodziejskie wrota! Na przykład olbrzymie dwu, trzy metrowe bujane konie– elementy scenografii. I ja– mała dziewczynka– zasiadałam na takim koniu za kulisami i byłam najszczeńliwszym dzieckiem na ziemi! To był właśnie „ten” prawdziwy koń, „tego” właśnie księcia, który przed chwilą był na scenie (śmiech)! Ja byłam święcie przekonana, że to jest prawdziwy książę, nie żaden tancerz. Kiedy zobaczyłam żywego, realnego–za kulisami, to mnie

zamurowało, zrobiłam się czerwona, blada i nie byłam w stanie się poruszyć. Pamiętam, że tańczył tę rolę pan Zbigniew Owczarzak – bardzo przystojny mężczyzna. A ja już wtedy jako kilkulatka byłam w nim zakochana po uszy. Inny balet, który uwielbiałam to: „Jezioro łabędzie” i „Giselle”. Często nie wytrzymywałam– wstawałam podczas występu i w łóży, między rzędami tańczyłam niektóre partie. Zdezorientowani widzowie patrzyli na to ze zdziwieniem i śmiali się. A ja tak bardzo chciałam tańczyć....Dostałam nawet od koleżanek mamy puenty. Gdy czasem przychodziły do nas do domu, to mnie podnosiły, uczyły piruetów. Często zdzierałam stopy do krwi i nie mogłam przestać tańczyć.

To dlaczego nie realizowała Pani tej pasji?!

Rodzice się nie zgodzili zapisać mnie do szkoły baletowej. Po pierwsze dlatego, że we Wrocławiu, gdzie mieszkaliśmy, takowej nie było. Rodzice nie chcieli wysłać mnie do innego miasta, do szkoły z internatem, poza tym znajomi tancerze bardzo im odradzali: „Pamiętajcie, broń Boże, nie dawajcie Oli do baletu. Bo to jest bardzo ciężka i bardzo krótka praca. Kończy się przed czterdziestką”

Więc względy praktyczne sprawiły, że nie udało się zrealizować tak wielkiego marzenia...

Tak. Ja tak bardzo to kochałam... Puszczalam sobie w domu muzykę z „Jeziora łabędziego”. Tańczyłam i płakałam rzewnymi łzami: ja tak bardzo chcę do baletu...

Dziś już bez bólu ogląda Pani balet?

(śmiech) Dziś tak. Uwielbiam oglądać przedstawienia baletowe. Ostatni, jaki widziałam to „Giselle” w Londynie, w Operze Królewskiej. Tuż obok mnie siedział Paul McCartney, bo on także jest wielkim fanem baletu. Po spektaklu razem poszliśmy na scenę i uwierzyłam to spotkanie pamiątkowym zdjęciem. Więc – koniec końców – łzy dziewczynki, nie poszły na marne (śmiech)...

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



22

JÓZEF WILKOŃ

FOT. ADAM PAŃCZUK

Być drzewem, 2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 80 x 98 cm
sygnowany p.d., w l.d.: 'ed. I/5 + 1A'

„Noszę w sobie wrażenie, które mam z dzieciństwa, które pozostało we mnie tak silnie, tak wyraźnie, że potrafię je do dziś opisać. Ja zawsze wchodząc do lasu czułem się tak wzniośle, jakby to było coś świętego, pełnego majestatu”.

JÓZEF WILKOŃ



O czym marzy człowiek, który swoją twórczością karmi marzenia innych, a szczególnie dzieci. Bo ilustrowanie książek, jest przecież podsyćanie marzeń innych.

Nie marzę o niczym dla siebie. Ja marzę o tym, żeby naród zmądrzał. Nie zgadzam się z zarządzoną przez ministra Ochrony Środowiska wycinką drzew. Głupi bowiem jest naród, który zgadza się na niszczenie swego dobra. To powinno być jak najszybciej zatrzymane, gdyż jest to barbarzyństwo. To jest moje jedyne, największe marzenie w tej chwili – zatrzymać barbarzyństwo!

„Był las, nie było nas, nie będzie nas, będzie las.”

I to zdanie straci swój sens! Jak się różnie drzewo, to drzewo płacze. Drzewa mają swoją inteligencję zbiorową. Naukowcy wprost piszą o niesamowitych powiązaniach, systemach wspierających się, w korzeniach, w grzybni... Latami obserwowałam, jak drzewa się rozwijały, jak rosły, jak sobie ustępowały czy radziły z przeszkodami. One w swym majestacie i sile pokazują nam, jak można się dostosowywać, współpracować. A dziś polegną wobec ludzkiej głupoty! Nic prostszego, tylko piła i rżnąć! Nic mnie ostatnio tak nie zdenerwowało, jak głupota, ministra i całej zbiorowości, która się przeciwko niemu nie buntuje. Ja tego kompletnie nie rozumiem!

Według Pana jest to rodzaj samozagłady, którą sobie ludzie szykują.

Tak! Wyróżnić drzewo jest prosto. Patrzę na potężne drzewa, które często są obrazem mojego życia. Patrzymy na siebie i ja i drzewo– towarzyszymy sobie czasami przez całe życie. I co? Nagle ktoś chwytą piłę ciach!?

Od wielu już lat rzeźbi Pan w drewnie. Wydaje mi się, że Pan ma wdzięczność wobec drzewa za to, że ono dawało Panu materiał do pracy artysty.

Mam wdzięczność i szacunek wobec drzew. Nie ma nic piękniejszego od pięknie patynującego się, starzejącego się drzewa, a potem drewna, które zostaje po śmierci drzewa i staje się jego drugim życiem. To drewno, z którym mam do czynienia, również w jakimś sensie długo jeszcze żyje

swoim życiem, swoją strukturą zmieniającą się w słońcu, w deszczu... Powtórzę – dla mnie nie ma nic piękniejszego, jak drewno, ani nic piękniejszego, niż żywe drzewo, czyli las. Dla mnie nie ma nic dostojniejszego i piękniejszego niż las. Marzę, żebyśmy to wreszcie wszyscy zrozumieli– las jest naszym najwyższym dobrem! Nie wolno z nim robić głupich eksperymentów! Z lasem trzeba postępować mądrze i dobrze. Trzeba mieć serce dla lasu. Dziś, jak słyszę dźwięk piły– to och, wszystko się we mnie gotuje!

Kiedy tak bardzo pokochał Pan las?

Jest we mnie takie uczucie już od dziecka. Noszę w sobie wrażenie, które mam z dzieciństwa, które pozostało we mnie tak silnie, tak wyraźnie, że potrafię je do dziś opisać. Ja zawsze wchodząc do lasu czułem się tak wzniośle, jakby to było coś świętego, pełnego majestatu. Ojciec mnie kiedyś zawiózł spod Wieliczki do Puszczy Niepołomickiej. I chodziliśmy razem w przepięknej puszczy, a ze mną działo się coś niesamowitego– ...czułem się jak bym wszedł do świątyni. Może trochę patetycznie brzmi, może trochę za wzniośle, ale tak się czułem. Od tamtej pory mam w sobie szacunek, uwielbienie piękna natury poprzez las, poprzez drzewa.

Gdyby miał Pan o sobie powiedzieć, że jest Pan drzewem, to jakim?

Byłbym brzozą. Albo dębem. Raz kiedy mnie coś wzrusza, czuję się tak delikatny i niewinny jak brzoza. Chciałbym też być dębem. Mieć wspaniałą formę, ogrom, tej wielości, bujność listowia. Jeden z takich dębów jest obok mojego domu. Ale prawdę mówiąc każde drzewo jest piękne, bo inne. Na przykład taka akacja, która kłuje niemilosiernie i w lesie akacjowym nie daj Boże chodzić na bosaka –za to ma piękną rosochatość pnia i delikatne listeczki. Uwielbiam też wierzy. Pięknie wyglądają gdy znaczą linie pól na polach, które ciągną się po horyzont. Jest prześliczny plakat Trepkowskiego do muzyki szopenowskiej z wierzbami... Zwłaszcza w naszym krajobrazie mazowieckim, który jest płaski wyglądają one pięknie i nadają charakter.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss



23

ALICJA RESICH MODLIŃSKA

FOT. MONIKA KMITA

Dobra wróżka, 2016/2017 r.

wydruk pigmentowy na papierze archiwalnym
Hahnemuhle Photo Rag Baryta 315 g., 98 x 75,5 cm
sygnowany p.d., w l.d.: "ed. 1/5 + 1 AP"

„Być może mam takie cechy, które ze mnie mogłyby uczynić wróżkę, ponieważ generalnie dobrze wszystkim życzę. I bliskim, i nieznanym. To jest moje pierwsze uczucie – dobrze życzyć światu. Być może dzięki temu zaklinaniu rzeczywistości, ona staje się dobra?”

ALICJA RESICH MODLIŃSKA



Twoje marzenie z dzieciństwa, to być wróżką.

Tak, ale muszę się od razu na początku z tego marzenia wytłumaczyć.

Nie wierzę we wróżki. Ani w czarownice, ani w inne siły nadprzyrodzone.

Wszystko to, co jest motorem zmian, co nas napędza lub nie napędza,

jest w nas, ludziach. Jest w nas również wyobraźnia, fantazja i nadzieja.

Powiedziałabym więc, że mam wielką nadzieję, że wróżki istnieją. To jest tak,

jak z Bogiem – mam nadzieję, że jest. Jeśli się okaże, że istnieje – zaakceptuję

to z zachwytem. Ja tylko fantazjuję....

Taka własna religia – wróżkologia – można by rzec? Jakie zasady rządzą tym światem wróżek?

Najpierw należy się zastanowić, jaką istotą może być wróżka. I tutaj znowu

zrobię odniesienia do Boga. Dziwisz się, ale już tłumaczę. Ja jestem cała

przeziąknięta religią, gdyż za młodu studiowałyśmy z mamą często Biblię.

Mój dziecięcy świat nasiąkł tym światem biblijnym. Towarzyszy mi wciąż ta

piękna wizja cudownego Boga w chmurach i wszystkiego co z tym związane.

Ten Bóg– jeżeli istnieje– jest nadzieją i tęsknotą za tym, żeby istniał. Nasza

powłoka ludzka bardzo przeszkadza go nam doświadczyć, spotkać. I w tym

świecie, który trudno jest nam sobie wyobrazić, są również wróżki.

Wróżki, czyli co?

Wróżki są chyba bardzo zbliżone do aniołów? Wiadomo, że byli też złe anioły

i czarownice, no i diabeł – upadły anioł. I niech to sobie tak będzie, bo tak

zostało to baśniowo wymyślone przez człowieka. Natomiast tak już poważnie

mówiąc – to na tym niematerialnym poziomie istnieje, mam nadzieję, dobra

energia. Tam mieszkają wróżki.

A można odkrywać wróżkę w sobie?

Być może, mam takie cechy, które ze mnie mogłyby uczynić wróżkę, ponieważ

generalnie dobrze wszystkim życzę. I bliskim, i nieznanym. To jest moje

pierwsze uczucie – dobrze życzyć światu. Być może dzięki temu zaklinaniu

rzeczywistości, ona staje się dobra?

To piękne i niewinne marzenie. Wręcz słodkie. Ale, czy myślisz, że wróżki mogą też bywać złe?

Złe wróżki to chyba czarownice?

Nad kołyską Śpiącej Królowy pojawiła się wróżka zwana przez wszystkich złą wróżką, nie czarownicą. Spotkałaś złe wróżki na swej drodze?

Takie Cruelle DeMon (śmiech)? Och, wokół są też są złe wróżki, dużo złych

wrózek... Najczęściej bywają blondynkami (śmiech).

Taki moment, kiedy poczułaś, że musisz być dla kogoś dobrą wróżką?

Tak. Kiedy miałam 5 lat. Coś takiego czułam do babci, mamy mojej mamy,

która z nami mieszkała i była obłożnie chora. Lubiłam być z nią, spędzać

wspólnie czas, opiekować się. Ale ona mi się też rewanżowała. Leżała

w łóżku większość dnia i opowiadała mi dużo bajek, historii... Miałam

bardzo ciepły kontakt z babcią. Pewnego dnia ukazała się w drzwiach

kuchennych, a rzadko ją widziałam na stojąco. Wydawało mi się, że jest

jakąś nieziemską istotą. Była w powłóczystych szatach, ale nade wszystko

miała uśmiech pełen miłości i światła... To jest jedno z moich pierwszych

dojrzałych, wspomnień z dzieciństwa. Do dziś nie wiem czy ona naprawdę

staneła w tych drzwiach czy tylko mi się tak wydawało.

Wróżka to postać, która ma moc. Kiedy ty poczułaś, że masz moc?

Ja nie czuję, że mam moc. Mam w sobie intuicyjną życzliwość. Ale są osoby,

które jakoby dotknęłam swoją różczką. Niedawno podszedł do mnie

pewien dziennikarz, przedstawił się i przypomniał, że byłam lektorką

angielskiego kiedy studiował dziennikarstwo. Podobno poradziłam mu

jak być dobrym dziennikarzem. Jak widać, zadziało. Wtedy czuję się

wróżką! Posypałam go chyba złotym pyłem...

Dlaczego tak bardzo chciałaś być w naszej sesji wróżką?

Bo wydaje mi się, że bywam odbierana jako osoba wyniosła, kobieta

sukcesu. A temu towarzyszą stereotypy, w gatunku „po trupach do celu”

i tym podobne bzdury, które często przypina się osobom z mediów

czy show biznesu, którzy osiągnęli sukces. Ja natomiast chciałabym

przedstawić prawdę o sobie. A prawda jest taka, że w tym trudnym

medialnym świecie istnieje od lat choć jestem żywym zaprzeczeniem

bohaterki filmu „Diabeł ubiera się u Prady”.

Rozmawiała Anna Kaplińska-Struss





REGULAMIN AUKCJI CHARYTATYWNEJ

- I. Aukcja objęta niniejszym Regulaminem jest aukcją jednorazową, przeprowadzoną w dniu 14 listopada 2017 roku w siedzibie Domu Aukcyjnego DESA Unicum S.A. w Warszawie.
 2. Aukcja ma cel charytatywny, co oznacza, że dochód z aukcji zostanie przeznaczony na cele statutowe Fundacji Mam Marzenie.
 3. Aukcja jest przeprowadzana przez Aukcjonerę reprezentującego Dom Aukcyjny DESA Unicum S.A.
- II. Obiekty licytowane będą w kolejności katalogowej.
 2. Do wylicytowanej ceny każdego obiektu nie będzie doliczana żadna dodatkowa opłata dla Nabywcy.
 3. Przed licytacją nie pobiera się wadium od Uczestników aukcji.
 4. Uczestnictwo w aukcji jest dobrowolne.
- III. 1. Uczestnictwo w aukcji odbywa się poprzez bezpośredni udział osoby licytującej w trakcie trwania aukcji.
 2. Zakończenie licytacji następuje w momencie

- uderzenia młotkiem przez Aukcjonerę i jest jednoznaczne z zawarciem transakcji z Licytantem, który zaoferował najwyższą cenę.
3. W przypadku zaistnienia sporu w trakcie licytacji, Aukcjoner rozstrzyga spór lub ponownie przeprowadza licytację obiektu.

- IV. 1. Warunkiem uczestnictwa w aukcji jest akceptacja niniejszego Regulaminu.
2. W przypadku zakupu należy odebrać potwierdzenie zawartych transakcji bezpośrednio po zakończeniu Aukcji.
3. Każdy Uczestnik aukcji na zasadzie dobrowolności może wyrazić zgodę na podanie jego nazwy uczestnika lub nazwiska do wiadomości pozostałych uczestników Aukcji, które nastąpi po jej zakończeniu.
4. Nabywca zobowiązany jest wykupić obiekt w ciągu 7 dni po zakończeniu aukcji.
5. Prawo własności zakupionego obiektu przechodzi na Nabywcę z chwilą wpłaty pełnej ceny nabycia na wskazane powyżej konto bankowe.

DOM AUKCYJNY I GALERIA
Marszałkowska 34-50, 00-554 Warszawa
tel. 22 584 95 34, marszalkowska@desa.pl
pon.-pt. 11-19, sob. 11-16

BIURO PRZYJĘĆ I WYDAŃ OBIEKTÓW
Marszałkowska 34-50, 00-554 Warszawa
tel. 22 584 95 30, wyceny@desa.pl
pon.-pt. 11-19, sob. 11-16

DZIAŁ ROZLICZEŃ
Marszałkowska 34-50, 00-554 Warszawa
tel. 22 584 95 23
kasa: pon.-pt. 11-19

SALON WYSTAWOWY MARCHAND
Pl. Konstytucji 2, 00-552 Warszawa
tel. 22 621 66 69, marchand@desa.pl
pon.-pt. 11-19, sob. 11-16

GALERIA BIŻUTERII
Nowy Świat 48, 00-363 Warszawa
tel. 22 826 44 66, bizuteria@desa.pl
pon.-pt. 11-19, sob. 11-16
wyceny biżuterii: śr. 15-19, czw. 11-15

KONTA BANKOWE
Bank Pekao S.A., SWIFT PKOP PL PW
PLN: 27 1240 6292 1111 0010 6772 6449
EURO: 58 1240 6292 1978 0010 6772 6191
USD: 78 1240 6292 1787 0010 6772 6263

Desa Unicum Sp. z o.o.
ul. Marszałkowska 34-50, 00-554 Warszawa, tel. 22 584 95 25, fax 22 584 95 26, e-mail: biuro@desa.pl,
NIP: 527 26 44 731 REGON: 142733824
Spółka zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy XIII Wydział Gospodarczy
KRS 0000372817



ZLECENIE LICYTACJI

Projekt "Marzenie" Charytatywna Aukcja Fotografii • 504ACH020 • 15 listopada 2017 r.

Zlecenie licytacji z limitem lub licytacja telefoniczna to proste sposoby wzięcia udziału w aukcji, które nie skutkują żadnymi dodatkowymi kosztami dla Nabywcy.

☐ Zlecenie licytacji z limitem ☐ Zlecenie telefoniczne

Zlecenie musi być dostarczone (osobiście, pocztą, faksem lub e-mailem) do siedziby Domu Aukcyjnego nie później niż 24 godziny przed rozpoczęciem licytacji, w przypadku późniejszego dostarczenia nie gwarantujemy realizacji zlecenia, jednak dołożymy wszelkich starań, aby było to możliwe.

Prosimy czytelnie wypełnić formularz, by uniknąć ewentualnych pomyłek.

Imię i nazwisko		
Dowód osobisty (seria i numer)		NIP (dla firm)
Adres: ulica	nr domu	nr mieszkania
Miasto		Kod pocztowy
Adres e-mail		
Telefon / faks		

Przed przyjęciem zlecenia licytacji pracownik Domu Aukcyjnego ma prawo prosić o podanie pełnych danych osobowych oraz o okazanie lub skopiowanie dokumentu potwierdzającego tożsamość osoby rejestrowanej (dowód osobisty, paszport, prawo jazdy; w przypadku zleceń przesyłanych e-mailem, pocztą lub faksem konieczne jest dołączenie kserokopii lub skanu takiego dokumentu). Dane są udostępniane dobrowolnie, jednak ich podanie jest warunkiem koniecznym do wzięcia udziału w licytacji.

Nr kat.	Autor, tytuł	Maksymalna oferowana kwota (bez opłaty aukcyjnej) lub licytacja telefoniczna

Należność za zakupiony obiekt

☐ Wpłać na konto bankowe Banku Pekao S.A. 27 1240 6292 1111 0010 6772 6449

☐ Wpłać w kasie firmy (pn.-pt. w godz. 11–19)

☐ Proszę o wystawienie faktury VAT bez podpisu odbiorcy

Skąd dowiedzieli się Państwo o DESA Unicum?

z prasy☐ z mailingu☐ z reklamy internetowej☐ z reklamy zewnętrznej☐ z radia☐
od rodziny/znajomych☐ z imiennego zaproszenia☐ inną drogą _____

Desa Unicum Dom Aukcyjny Sp.z o.o., ul. Marszałkowska 34-50, 00-554 Warszawa, tel. 22 584 95 25, fax 22 584 95 26, e-mail: biuro@desa.pl, www.desa.pl NIP: 5272644731 REGON: 142733824 Spółka zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy XII Wydział Gospodarczy KRS0000372817.



tel. 22 584 95 32, fax 22 584 95 26
e-mail: zlecenia@desa.pl

Zlecenie licytacji z limitem

Podanie przez Klienta limitu licytacji jest informacją ściśle poufną. Dom Aukcyjny będzie reprezentował w licytacji Nabywcę do podanej kwoty, gwarantując jednocześnie nabycie obiektu za najniższą możliwą kwotę. Dom Aukcyjny nie przyjmuje zleceń bez górnego limitu. W przypadku zaistnienia kilku zleceń w tej samej wysokości Dom Aukcyjny będzie reprezentował Klienta, którego zlecenie zostało złożone najwcześniej. Zgadzam się na jedno postąpienie w górę w przypadku wystąpienia innego zlecenia o tej samej wysokości:

☐ Tak ☐ Nie

Zlecenie telefoniczne

W przypadku zlecenia licytacji telefonicznej prosimy o podanie numeru telefonu aktualnego w czasie aukcji. Pracownicy Domu Aukcyjnego połączą się z Państwem chwilę przed rozpoczęciem licytacji wybranych obiektów. Przebieg rozmowy – licytacji telefonicznej może być rejestrowany przez Desa Unicum. Dom Aukcyjny nie ponosi odpowiedzialności za brak możliwości wzięcia udziału w wyniku problemów z uzyskaniem połączenia z podanym numerem.

W przypadku problemów z uzyskaniem połączenia zgadzam się na licytację w moim imieniu za kwotę równą cenie wywoławczej:

☐ Tak ☐ Nie

Numer telefonu do licytacji

Ja niżej podpisany/-a oświadczam, że:

- 1) zapoznałem/-am się i akceptuję WARUNKI SPRZEDAŻY AUKCYJNEJ I WARUNKI AUTENTYCZNOŚCI Domu Aukcyjnego DESA Unicum opublikowane w katalogu aukcyjnym,
- 2) zobowiązuję się do zrealizowania zawartych transakcji zgodnie z niniejszymi WARUNKAMI, w tym do zapłacenia wylicytowanej kwoty powiększonej o opłatę aukcyjną oraz innych opłat, zgodnie z oznaczeniami w katalogu, w szczególności w przypadkach przewidzianych przepisami ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, wynagrodzenia z tytułu odsprzedaży oryginalnych egzemplarzy utworu (tzw. droite-de-suite) w terminie 10 dni od daty aukcji,
- 3) wszelkie dane zawarte w niniejszym formularzu są prawdziwe i zgodne z moją najlepszą wiedzą. W przypadku zatajenia lub podania nieprawdziwych danych DESA Unicum nie ponosi odpowiedzialności,
- 4) wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych w celach koniecznych do realizacji niniejszego zlecenia, zgodnie z ustawą z 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych, przez DESA Unicum oraz podmioty powiązane z DESA Unicum w rozumieniu Kodeksu spółek handlowych,
- 5) ☐ wyrażam zgodę ☐ nie wyrażam zgody na przetwarzanie moich danych osobowych w celach marketingowych oraz na przysyłanie katalogów wydawanych przez DESA Unicum, a także przysyłanie drogą elektroniczną informacji handlowych, zgodnie z ustawą z 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych, przez DESA Unicum oraz podmioty powiązane z DESA Unicum w rozumieniu Kodeksu spółek handlowych,
- 6) zostałem poinformowany/-a, że administratorem moich danych osobowych jest DESA Unicum oraz że przysługuje mi prawo wglądu do treści moich danych oraz prawo do ich poprawienia,
- 7) zostałem poinformowany, że dane osobowe podane w niniejszym formularzu nie będą nikomu udostępniane, z wyjątkiem wypadków obowiązkowego udzielania informacji określonych w przepisach ustaw.

_____ Data i podpis klienta składającego zlecenie





DESA.PL

UL. MARSZAŁKOWSKA 34-50

00-554 WARSZAWA

TEL.: 22 584 95 25

EMAIL: BIURO@DESA.PL